

Prenumeratę „Młodego Gryfa“ przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listowi

MŁODY GRYF



W.F.

T Y G O D N I K
R E D A G U J E K O M I T E T

P.W.

Rok IV.

Niedziela, dnia 11 lutego 1934.

Nr. 6. (149).

JAN DĘBSKI, wiceprez. Zarz. Główn. L. M. i K.

10. II. 20. — 10. II. 34.

Jedną z najważniejszych cech narodów wielkich jest życie kolejnych pokoleń z myślą o dalekiej przyszłości. Narody, które żyją tylko dniem dzisiejszym, pokolenia, które tylko o sobie myślą, żyją kosztem przyszłości, pozostawiając przyszłość w rękach ślepego losu wypadków i wydarzeń zewnętrznych. Narody wielkie starają się przewidzieć przyszłość, zapobiec niebezpieczeństwom, realizować zamierze-

nia i cele, których dobroczynne skutki ujawnią się często dopiero w życiu następnych pokoleń. Życie narodów wielkich, w oparciu o przeszłość, przenika zawsze myśl o dalekiej przyszłości, wyzwalając dla niej wielką sumę zapалу i energii.

Byliśmy w przeszłości narodem i państwem wielkim, ale polska myśl polityczna — myśl o przyszłości — rwała się na przestrzeni wieków, jak nić pa-

DZISIEJSZY NUMER ZAWIERA:

Dział ogólny: W zawierusze ognia i krwi. Szlakiem smutnej wędrówki.

Sprawy morskie: 10. II. 1920 — 10. II. 1934.

Wychowanie obywatelskie: W ogniku sąsiadów.

Wiadomości histor.: Margrabstwo Brandenburskie.

Dział P. W. i W. F.: Przyjaźń z łopatką.

Dział praktyczny: Jak zmusić drzewa owocowe do owocowania.

Działy stałe: U nas i zagranicą. W powietrzu, na ziemi i na wodzie. Twórzmy potęgę lotniczą! Wszyscy w szeregach organizacji P. W. Własnymi siłami przy rodzinnym stole. Radjo w izbie — świat na przyzbie. Odpowiedzi Redakcji. Świat na różowo. Ogłoszenia.

Od Administracji:

Wobec licznych zapytań w sprawie „Młodego Gryfa Szkolnego“, podajemy do wiadomości:

1. „Młody Gryf Szkolny“ jest dwutygodnikiem młodzieżowym szkół powszechnych.

2. Redaguje go Komitet Redakcyjny, złożony z wykwalifikowanych sił nauczycielskich i literackich.

3. „Młody Gryf Szkolny“ wychodzi łącznie z „Młodym Gryfem“; jednakże można go nabywać osobno, w nieograniczonej ilości (najmniej pięć), przy jednym egzemplarsu „Mł. Gr.“.

4. „Młody Gryf Szkolny“, nabyty łącznie z „Młodym Gryfem“, jest bezpłatny. Cena oddzielnego egzemplarsa wynosi 15 gr, w prenumeracie miesięcznej 20 gr, w rocznej 2,00 zł (10 miesięcy). Prenumeratę i wszelkie sumy należy wysłać na konto P. K. O. 160 365, zaznaczając cel przesyłki pieniężnej.

5. Prenumeratę „Młodego Gryfa“ i „Mł. Gr. Szk.“ przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listowi.

6. Niestychanie niską prenumeratę „Mł. Gr. Szkolnego“ można będzie utrzymać tylko przy masowym abonamencie.

jęcza, a życie na dziś zagłuszało troski o jutro.

Lekkomyślność — a nie przezorność — była cechą naszego życia narodowego i państwowego.

Sędziowie-historycy badali przyczyny naszego upadku. Różnorodne i wielorakie miały być przewinienia naszych przodków.

Ale jedna jest zasadnicza przyczyna.

Gdybyśmy swój byt ubezpieczali nie pospolitem ruszeniem, ale stałą, liczną armią, gdyby granice Polski były ufortyfikowane, ubezpieczone, najgorsi sąsiedzi szanowaliby nas, bo tacy szanują siłę. Bezbronni musieliśmy się stać łupem chciwości obcych najezdźców.

Dzisiaj niema nikogo w Polsce, kto by nie rozumiał, że pieniądze,

składane przez naród na utrzymanie wojska, są najlepszą formą ubezpieczenia na wypadek wojny. Co więcej, pieniądze, przeznaczone na armję, są najlepszą gwarancją ubezpieczeniową pokoju. Głupcy, albo ludzie złej woli mogą tylko mówić, że wydatki na obronę nie przynoszą narodowi żadnej korzyści. Pomijając już to, że pieniądze, wydawane na armję, wracają do kieszeni rolników, robotników, rzemieślników, za żywność, ubrania i wszelkiego rodzaju sprzęty, dostarczane dla wojska — mamy za te pieniądze wielką korzyść, bo bezpieczeństwo.

Co jest cenniejszego dla narodu aniżeli pokój? Cóż jest bardziej pilnego od gotowości obronnej państwa?

Prawda, moglibyśmy za te pieniądze żyć *dzisiaj* lepiej, wybudować więcej szkół, domów mieszkalnych, dróg, kolei, różnych warsztatów pracy. Bylibyśmy może zasobniejsi, bogatsi, ale bezbronni. Szczęśliwy dzień dzisiejszy skończyłby się dla nas, czy dla tych, co po nas przyjdą jutro, nową katastrofą, bo wcześniej, czy później, stalibyśmy się łupem złych sąsiadów.

Potrzeba obrony granic Rzeczypospolitej, ubezpieczenia pokoju, ubezpieczenia na wypadek wojny — jest dzisiaj dla wszystkich w Polsce zrozumiała. Nie jesteśmy już — jak nasi przodkowie — lekkomyślni, beztroskliwi. Budżety wojskowe odrodzonego państwa polskiego uchwalane były jednomyślnie. Nauczyliśmy się być „mądrymi po szkodziu”. Doświadczenia przeszłości nie poszły na marne.

Jest wszakże jedna granica Polski, granica morska, której obrona, ubezpieczenie nie jest dotąd przez cały naród należycie doceniana. Może szczupłość tej granicy, jej morski charakter, może nasze tradycje lądowe są tego przyczyną? Faktem jest, że nasze rozumienie i zapal dla spraw obrony morskiej dalekie są od tego rozumowego i uczuciowego stosunku, jaki żywi cały naród np. dla broni kawaleryjskiej, czy lotniczej.

Straż granicy morskiej, straż dróg morskich, po których płyną polskie statki z polskim towarem, dla wielu, bardzo wielu wydaje się kosztownem i zbyt kosztownem ubezpieczeniem. Powiadają nam, że krótki brzeg morski nie daje oparcia dla silnej

floty. Ale właśnie dlatego, że nasze wrota na szeroki świat, że nasz jedyny dostęp do morza jest taki wąski, tem bardziej bronić go musi i ubezpieczać silna flota wojenna. Długi brzeg morski trudniejszy byłby do opanowania od strony morza, długi brzeg morski miałby mocne oparcie w lądowych siłach zbrojnych. Nie takie jest jednak położenie naszego brzegu morskiego, z którego ani pędzi ziemi utracić nie możemy.

Powiadają nam o zasadzie wolności dróg morskich. Czemu jednak ci, którzy tę zasadę głoszą, dzień i noc powiększają liczbę i jakość swoich okrętów wojennych? Wiedzą oni dobrze, że na straży głównych zasad pisanych traktatów stać musi siła zbrojna.

My natomiast musimy dobrze wiedzieć, że jesteśmy tylko jednym z dziewięciu państw nadbałtyckich, z których Niemcy przedwojenne były już bardzo bliskie władztwa na Bałtyku, i że o to niepodzielne posiadanie Bałtyku — walki nie przestały. Musimy też wiedzieć, że wyjście z morza Bałtyckiego na wody mórz i oceanów może być łatwo zamknięte przez flotę nieprzyjacielską i że najsilniejszą dzisiaj flotą na tem morzu jest flota niemiecka.

Niech nam też nie mówią, że brak tradycji polskiej armji morskiej stoi na przeszkodzie do jej zorganizowania.

Nawet angielska potęga morska nie jest odwieczna, a tradycje niemieckiej marynarki wojennej, mającej piękne karty w wojnie ostatniej, liczą zaledwie dziesiątki lat. To tylko Zagłoba sienkiewiczowski mógł kwieścić wywozić nasze, dobre na owe czasy, przeznaczenie do broni kawaleryjskiej.

Praca nad morzem i na morzu, jego związek dzisiejszy z najszerzszymi warstwami narodu niedługo zmieni psychikę Polski, a zwłaszcza młodego pokolenia, które już dzisiaj rwie się do „harców” w powietrzu i na wodzie.

Armja morska jest jak każda inna armja. Powstać może w oparciu o tradycje i cnoty żołnierskie w narodzie. A tych nam nie brak.

Nie do nas, członków organizacji społecznych, należy myślenie o sposobach i środkach obrony polskiego brzegu morskiego, o gwarancjach bezpieczeństwa dla polskich statków handlowych, o gwarancjach poszanowania praw Polaków na dalekiej, zamorskiej obczyźnie. Ale do nas należy,

jest naszym obowiązkiem szerzyć w społeczeństwie zrozumienie dla potrzeb tej obrony, rozbudzać wśród młodego pokolenia zapal dla armji morskiej, jest naszym obowiązkiem wydatnie dopomóc państwu do stworzenia silnej floty wojennej.

Liga Morska i Kolonialna, podejmując zaszczytny i wielki obowiązek zbiórki na Fundusz Obrony Morskiej, opodatkowuje na ten cel swoich członków, musi pójść do wszystkich obywateli państwa polskiego z wezwaniem o dobrowolne świadczenia, ale świadczenia stałe i powszechne, na ubezpieczenie naszych granic morskich.

Polska straż na Bałtyku, to najlepszy środek ubezpieczenia pokoju nad Bałtykiem, utrzymania równowagi wśród współzawodniczących nad nim państw, to gwarancja wolnego dostępu do morza i bezpieczeństwa pracy polskiej na morzu. Fundusz Obrony, to fundusz bezpieczeństwa, to wyraz przezorności i troski o jutro Polski nad Bałtykiem.

Czternaście lat mija od wielkiej rocznicy zaślubin Polski z morzem! Zerwanie tego ślubu byłoby równoznaczne z nowym upadkiem Polski, do którego za żadną cenę nie możemy dopuścić. A warunkiem naszej potęgi morskiej jest należyte zrozumienie sprawy i ofiarność.

O 51 lat przeżył własną szubienicę. Pisma angielskie podają, że w więzieniu dla długoterminowych w Bartmoor zmarł onegdaj w 69-ym roku życia przebywający tamże od 51 lat skazaniec John Pallther, nazwany w swoim czasie potworem z Richmond (zachodnie przedmieście Londynu).

W dniu 15 sierpnia 1883 r. został on mianowicie po przewodzie sądowym, który trwał zaledwie 40-ci minut, skazany na karę śmierci za swój potwornie zbrodniczy czyn, którym było podpalenie drewnianego budynku szkolnego w chwili, gdy tam się odbywała nauka, a wskutek czego utraciło życie 30 dzieci. Wyrok został zatwierdzony i w dniu następnym został już właściwie przez kata wykonany, atoli w chwili, gdy skazany zawisł na szubienicy, przerwała się pętla, a w myśl ustawy, obowiązującej w Anglii, powtórzenie wykonania wyroku było niemożliwe.

Tej okoliczności zawdzięczał John Pallther swe dożywotnie więzienie, któremu dopiero śmierć po 51-letach kres położyła.

EDWARD MATEJSKI

W ogonku sąsiadów?

Zaufanie we własne siły — warunkiem mocarstwowego stanowiska Polski.

Jedną z kardynalnych naszych wad narodowych, pozostałych z okresu upadku i niewoli Polski, jest brak zaufania we własne siły. Ujemna cecha ta jest naturalnym wynikiem słabości wewnętrznej Polski w XVII i XVIII stuleciu, kiedy to z powodu wadliwego ustroju wewnętrznego olbrzymie państwo polsko-litewsko-ruskie, zajmujące prawie $\frac{1}{3}$ część Europy, faktycznie było słabsze od znacznie mniejszych państw. W owych to czasach, pomimo świetnych zwycięstw nielicznego i źle zaopatrzonego wojska polskiego nad kilkakrotnie silniejszym przeciwnikiem, w umysłach polskich coraz bardziej zanikało zaufanie we własne siły. Zaczęto szukać sprzymierzeńców, starać się o „gwarancje” utrzymania niepodległości, o zapewnienia pokojowe i t. p. Małoduszność ta ściga Ojczyznę naszą od wieków i była ona przekleństwem wszystkich wysiłków zbrojnych naszych ojców, dążących z bronią w rękę do utrzymania, czy też odzyskania niepodległości. Nie mając pełnego zaufania we własne siły Polski, ojcowie nasi wciąż wyczekiwali pomocy „obcych potencyj”, które zawsze zawodziły. Ten brak zaufania we własne siły stanowią jedną z głównych przyczyn naszych licznych klęsk na polu walki. Przegrywano nawet takie wojny, które można było wygrać. Przegraliśmy wojnę polsko-rosyjską w 1830—31 roku — wyłącznie z powodu braku wiary w zwycięstwo ze strony dowódców i całego narodu, a wyczekiwania na pomoc zagranicy. Taktyka wojenna mówi, że brak wiary w zwycięstwo przed bitwą powoduje nieuchronną klęskę, a historia wojen potwierdza w zupełności powyższe twierdzenie.

Zgubna ta cecha pokutuje u nas jeszcze i w obecnych czasach. Jakże często i dziś daje się słyszeć zdanie, że na wypadek wojny z jednym, a nie daj Boże, z dwoma z naszych sąsiadów, nie mamy ludzi się, że nie poniesiemy klęski, chyba, że z pomocą przyjdzie Francja lub inne sprzymierzone mocarstwo. Jest to ta sama małoduszność, którą obserwowaliśmy w dawnych czasach. Tak, jak wówczas nie mogły przetrwać ogółu narodu o ukrytej wewnętrznej sile państwa

polskiego wspaniałe zwycięstwa, tak i obecnie wygrana w najgorszych warunkach wojna z Rosją sowiecką nie zdołała jednak przekonać Polaków, że własnymi siłami potrafimy swój byt niepodległy obronić. Musimy więc wyrobić w sobie silne charaktery, zaufanie we własne siły oraz niezłomną wolę i pewność zwycięstwa w ewentualnym przyszłym zatargu zbrojnym. Musimy zdawać sobie sprawę, że liczyć możemy tylko na własne siły, gdyż pomoc sprzymierzeńców z różnych powodów może zawieść, a jeżeli nie zawiedzie, to tem lepiej — tem łatwiej wroga pokonamy. Mamy w historii naszej tyle wspaniałych przykładów, kiedy to stawni wodzowie polscy z garstką rycerzy pokonywali kilkakrotnie silniejsze hufce wroga, jak Kirholm, Kłuszyn, Obertyn, Chocim i t. p. Przykłady powyższe dowodzą niezbicie, że my, Polacy, jesteśmy świetnymi żołnierzami i żaden inny żołnierz — nawet pomimo swej przewagi liczebnej — nie sprostał nigdy i nie sprosta nam w polu. Posiadamy bardzo wiele zalet rycerskich, których brak naszym sąsiadom, jak: odwagę, wielką ruchliwość, zdolność do nadzwyczajnych wysiłków i szybkiego manewrowania, przedsiębiorczość, a przedewszystkiem gorącą miłość Ojczyzny i gotowość oddania życia w Jej obronie. Możemy być pewni, że zalety te w zupełności wyrównają ewentualne braki w innych dziedzinach.

Musimy sobie uświadomić, że pomimo zewnętrznych odznak naszej pozornej słabości w porównaniu z sąsiadami, jesteśmy dość silni, aby przy wykazanej przez cały naród niezłomnej woli zwycięstwa z powodzeniem walczyć z jednym, a nawet kilkoma przeciwnikami. Pamiętać musimy o tem, że drapieżnych naszych sąsiadów biliśmy zawsze i w przyszłości bić będziemy. Potrzeba tylko, aby cały naród należycie do tego się przygotował, a wówczas żadne niebezpieczeństwo nie będzie straszne.

Ale i w innych, nie mniej ważnych dziedzinach, wykazujemy stale brak zaufania we własne siły. Impонуje nam wciąż jeszcze zagranica. Wszystko, co nosi stempel zagraniczny, jest, według zdania wielu Polaków, doskonale, wszystko, co polskie — nic niewarte. Skłonni jesteśmy kupować towary zagraniczne, pomimo — że są one często-

króć gorsze od wyrobów polskich, przyczem nierzadko się zdarza, że się kupuje towar polski — tylko ze stemplem zagranicznym. Znany nam jest komiczny wypadek, jak to pewien obywatel polski, będąc w Szwecji, zakupił garnitur prześlicznych kieliszków, poczem z wielkim strachem przewoził je przez granicę, o mało nie wpadł w olbrzymią nieprzyjemność, a po powrocie do domu na dnie kieliszków zauważył nalepkę z napisem... „Zawiercie”. Tak to czasami bywają ukarani ludzie, którzy są zwolennikami „zagranicznych wyrobów”.

Najbardziej jednak jaskrawo występuje brak zaufania do naszej waluty. Kiedy po roku 1926, dzięki niewzruszonej i celowej polityce walutowej rządów pomajowych, złoty polski ustabilizował się, kiedy nawet zagraniczne sfery finansowe nabrały zaufania do waluty polskiej — nie mogło to jednak przekonać Polaków. Powszechna była ucieczka od waluty polskiej, wszelkie poważniejsze transakcje zawierano w dolarach lub innej walucie zagranicznej. Oszczędzano również tylko w dolarach. Nie otrzeźwiło tych niewiernych Tomaszów pierwsze załamanie się walut zagranicznych. Mówiono powszechnie, że to minie, że „co dolar, to dolar”.

Dopiero teraz wybiła czarna godzina dla tych niewiernych „ciulaczy”. Plują oni sobie teraz w brodę i lamentują, wyzbywają się jak mogą dolarów, czy funtów po cenie niżej wartości. Lecz jest już za późno — niejeden stracił przez to cały majątek i drogo zapłacił za brak zaufania do Polski.

Za wzór stawiamy sobie porządku zagraniczne, skłonni jesteśmy naśladować każde ich posunięcie, pomimo, że są one częstokroć gorsze, a co najmniej nie nadające się do zastosowania w naszych polskich warunkach. Jako przykład tego może służyć fakt radykalnej zmiany ustroju szkolnictwa. Pamiętamy wszyscy, jaki lament podnieśli nasi konserwatywnie usposobieni obywatele, twierdząc, że w żadnym państwie sąsiednim tego niema, że Polska nie może pozwolić sobie na eksperymenty, a musi naśladować wzory obce i t. p. *Przyzwyczajeni dążyć w ogonku sąsiadów* ludzie ci nie mogą zrozumieć, że nasze polskie czynniki kierownicze nie są przeciętnie mądre od różnych autorytetów zagranicznych i mogą wymyśleć coś, czego inni mogą się od nas nauczyć.

Jednym słowem — skłonni jesteśmy uważać siebie za coś niższego, gorszego, słabszego od naszych sąsiadów, pozwalając „wielkim mocarstwom“ na protekcyjnalne poklepywanie Polski po ramieniu. Nic też dziwnego, że i opinia zagraniczna próbowała traktować Polskę zgóry, pogardliwie, bo przecież jeżeli sami siebie nie szanujemy, trudno wymagać szacunku od obcych.

Na szczęście — stan ten w ostatnich latach, dzięki zdecydowanej postawie rządów pomajowych i olbrzymiej większości narodu, uległ

radykalnej zmianie, jednak w duszach pewnego odłamu społeczeństwa upakarzająca cecha ta tkwi nadal jeszcze głęboko.

Ufni w swoje siły dążymy do mocarstwowej Polski, nie oglądając się na naszych zagranicznych „przyjaciół“ i wrogów. Nigdy nie będziemy stać w *ogonku sąsiadów*, czekać, aż oni ruszą mózgiem. Młodzi i silni — sami wykujemy sobie nowe życie.

Hasłem dzisiejszego dnia winno się stać: „Zaufanie we własne siły — warunkiem mocarstwowego rozwoju Polski“.

HALINA WOJCIESZÓWNA

Na szlakach smutnej włóczędzy

Niemcy długo byli narodem kramarzy i pracowników drobnych warsztatów.

Tylko powoli uczyli się od Francuzów i Anglików sypać szosy, budować koleje i organizować większe zakłady przemysłowe.

Wszystko to przecież było na miarę dorobkiewiczowskiej i arcy-skąpej dynastji Hohenzollernów. Dopiero miljarady z francuskiej wojny nadały gospodarce niemieckiej rozmach, co ujawniło się także w rozbudowie miast i fabryk.

Miljard!

To cyfra, której przed rokiem 1871 nie znały pruskie i wogóle niemieckie podręczniki rachunków. Pięć miliardów marek w złocie wydało się Bismarckowi sumą, tak olbrzymią że — nakładając Francji taką kontrybucję i biorąc w zastaw kilka bogatych departamentów, aż do spłaty sumy, był przekonany, że zastaw Niemcy zatrzymają na zawsze...

Kiedy przecież Francja spłaciła miljarady w dwóch, czy trzech latach, powiedział żelazny kanclerz z goryczą:

„Byliśmy głupi, że nie sądziłmy dwudziestu miliardów, ale na nasze ciasne stosunki suma 5 miliardów wydawała się wprost fantastyczną“.

Ta fantastyczna suma przewróciła Niemcom głowy. Wszyscy chcieli żyć z procentów. Kto na wojnie otrzymał choć najmniejszą ranę, uważał, że miał prawo nic nie robić. A zdrowi poczuli się panami, na których inni powinni pracować. W tem należy doszukiwać się przyczyn, że do ciężkiej pracy sprowadzano Polaków — nie tylko na rolę, ale i do przemysłu.

Wchodzili robotnicy polscy do kopalń i fabryk stopniowo i po-

woli, tak, że wydawało się to robotnikom niemieckim objawem naturalnym.

Zręczność i pracowitość była znakomitą reklamą dla Polaków wobec powojennego rozluźnienia Niemców. To rozluźnienie było przedmiotem narad Rady Nadzorczej jednej z kopalń węgla brunatnego w Saksonji.

„Nasi robotnicy coraz gorzej pracują. Powiadają, że nie na to krew na polach Francji przelewali, aby powracać do dawnej niewoli. I oni chcą, aby im francuskie miljarady dały ulgę w życiu...“

Jeden z członków Rady znalazł na to środek zaradczy.

Doskonale pracują Polacy z Poznańskiego. Sprowadzimy ich większy transport, a nie tylko utrzymamy kopalnię w ruchu, lecz będziemy mogli podnieść produkcję, kiedy zamówień na węgiel i brykiety nie brak.

Jak pomyśleli, tak zrobili!

Pojechał agent do Poznania i ugodził kilkadziesiąt chłopaków roślących, jak dęby i garnących się do roboty.

Pokażemy szwabom, co umiemy! Śmiały się serca dyrektorów, kiedy ich ujrzeli przy pracy... Umieszczono ich w barakach. Choć były one ponure, panowała w nich wesołość, rozbrzmiewały śpiewy. Byli spracowani, lecz weseli...

Wśród Sasów zapanował nastrój ponury.

Chociaż nikt nie stracił pracy, drażniła robotników buta dozorców.

Nie podoba ci się? To sobie idź!

Aż pewnej ciemnej nocy rozpoczął się atak na barak... Świstały kamienie — pękały szyby, dachówki.

„Raus nach der Polakei“¹⁾. Spracowani chłopcy spalili twardo, choć im kamienie świstały nad głowami, ale od wrzawy obudził się jeden, drugi i trzeci.

— Wstawać, kto w Boga wierzył! — krzyknął ktoś... — Chcą nas wykurzyć!

Wiara stanęła na nogi w pół pacierza. Znalazł się przywódca.

— Wszyscy pod ścianę, między oknami — komenderował.

— Pójdziemy na szwabów! — namiętnie jakiś zuch.

— Ani się ruszyć — krzyknął dowódca. — Przyjdą żandarmi i okują nas. Szwab szwabowi krzywdy nie wyrządzi.

To pomogło, lecz na moment, bo gdy Sasi wdarli się do baraków z okrzykiem „Raus, polnisches Bettelvolk“²⁾, przywódca krzyknął: „Huza na nich, obrażają Polskę“.

I poszli chłopcy, z czem kto miał, ale większość z gołą pięścią, robiąc nią taki harmider, że szwabowie w popłochu wiały, aż miło! Gdy potem nadciągnęli żandarmi, zastali pole bitwy puste, a nasze zuchy spały, otrąbując zwycięstwo głośnym chrapaniem!

Były potem dochodzenia. Ale nasze zuchy udawały, że nic nie rozumia i mówiły, że „pięści to może twarde mają, bo nie noszą rękawic“.

Komisarz oglądał pięści i orzekł, że rozbite nosy i nadwyżęzone czaszki mogą być ich dziełem. Uznali, że Polacy działali w obronie własnej i sprawę umorzono.

I nie było już potem napaści na polskich przybyszów.

A szli oni do Niemiec coraz liczniej, jakby w odwecie za sławetny „Drang nach Osten“. Zapełnili kopalnie węgla i soli potasowej, fabryki chemiczne emalii całych Niemiec środkowych.

Stamtąd szli na zachód, północ i południe. Zaludnili koksownie nad Ruhrą i Renem, zalali olbrzymie zakłady Kruppa w Essen, stalownie w Bochum, huty w Dortmundzie, Gelsenkirchen, Duisburgu i t. d. Kopali kanał między morzami — w Szlezwigu: Pracowali u Zepelina w Ludwigshafen. Byli w Niemczech, jak u siebie w domu, doszli do kopalni holenderskiej — Limburgji, a później i do belgijskiej w Thionville, które to miasto Niemcy nazywali Diedenhofen.

Bez Polaków nie byłby przemysł niemiecki doszedł do rozkwitu, który pozwolił Rzeszy przez cztery lata prowadzić wojnę przeciw całemu światu. Różne kopalnie i fabryki ruszyły dopiero wtedy, gdy dykcja zapewniła sobie potrzebną liczbę rąk polskich do pracy. A jakież to dla nas smutne...

¹⁾ Precz do Polski!

²⁾ Precz, polski narodzie zebraczy!

ZIGOMAR

Przyjaźń z łopatką

Nie, to nie żadne nazwisko, to tylko zwykła mała łopatka piechoty, jaką dzisiaj nosi u pasa każdy żołnierz.

Ale wówczas, w roku 1914, w początkach wojny światowej legjoniści nie mieli ich zupełnie, tak, jak nie mieli broni ujednostajnionej, ani rynsztunku. Wszystkie te przedmioty, bez których dziś nie potrafimy sobie wyobrazić żołnierza, zdobywali legjoniści własnym przemysłem już w toku walk, jak się to mówi, psim swędem.

Wystarczyło, jeśli się taki dzieciuch legionowy otarł przypadkiem o zabłąkany tabor austriacki, aby kompanja z bogaciła się o kilka najnowszych modeli karabinów ręcznych, tornistrów z cielecej skóry, jakiś namiot oficerski, nie mówiąc o zdobywach z dziedziny prowiantowej.

Nasi ulani w ten sam sposób zdobywali sobie konie, artylerzyści armaty, a cekaemiści — karabiny maszynowe. Pewnie, że później robił się wielki krzyk, pisanina, raporty, przeglądy w asyście sztabowych c. i k. oficerów — ale zawsze bez rezultatu.

Przedmiot, czy zwierzę, wsiąkał, jak śliwka w glinę, i tyle go widziano.

Tak było i z moją łopatką.

Tuż pod samym Pantyrem*) natknęliśmy się na ugrzęzły tabor plutonu saperów, czy telefonistów austriackich, a że z wozów wyglądała duża ilość wszelakiego rodzaju sprzętu, przeto chętnie ofiarowaliśmy swoją pomoc. Że zaś była to droga jedyna w swoim rodzaju, ułożona z okrągłaków, o bardzo ostrych zakrętach i gwałtownymi zakosami pnąca się w górę, przeto o wypadek nie trudno.

Ileż tam pogruchotanych wozów, ile trupów końskich upiększało zbocza niedostępnej przełęczy?

Nikt też nie dziwił się zbytnio, gdy jeden z wozów saperskich nie zdołał wytrzymać nacisku ramion legionowych i na ostrzejszym zakręcie wywrócił się, obnażając swoje wnętrze. Nie było czasu na podnoszenie wozu i zbieranie rozsypanego po zboczach sprzętu. Trzeba było wypręgać konie, wóz „wyrzucić za burzę”, aby następne mogły dalej iść na szczyt.

W rezultacie „zdobyłem” piękny nowiuteńki karabin pięciostrzzałowy z setką amunicji i ową łopatkę.

Mojego jednostrzałowego Verndla, strzelającego dymnym prochem, o kalibrze coś 12 mm, porzuciłem bez żalu w rumowisku, a łopatkę wziąłem tylko dlatego, że ogromnie mi się podobał żółty skórzany pokrowiec. Że takie coś jest potrzebne na wojnie, nie bardzo wiedziałem; nawet się koledzy ze mnie wyśmiewali, że będę mógł z powodzeniem pełnić funkcję grabarza kompanijnego, jak zajdzie potrzeba. Przez całe dwa dni walczyłem z sobą, czy jej nie porzucić, bo słowo — grabarz — wcale mi nie sprawiało przyjemności, a dodatkowy ciężar u pasa też nie pomagał w marszu.

Mimo to zwyciężył pokrowiec. Później już zaprzyjaźniłem się z łopatką.

Było to na trzeci dzień po zejściu w dolinę Bystrzycy Nadwórniańskiej.

*) Przełęcz w Karpatach — inaczej droga Legionów.

Nasze czołowe oddziały były się o Nadwórnę. Nasz pluton leżał w odwodzie na zachód od wioski Pniów. Ponieważ na ugorach nie było żadnej naturalnej osłony, tylko szczere pole, przeto dla uniknięcia strat rozwinęliśmy tyraljerę i leżąc, przysłuchiwaaliśmy się odgłosom walki.

Nieprzyjaciela nie widzieliśmy zupełnie. Miał jednak gdzieś tam przed nami tkwi w terenie, bo strzelał gęsto.

Cią!... ciii!... czyk!...

Chmary przelatujących pocisków wyśpiewywały swoją żalną melodję.

Gdzieś na prawo grały armaty.

Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zupełnie słusznie rozumowałem, że przecież Moskale mają do kogo strzelać przed nami. Ale jak mi jedna i druga kulka bzyknęła tak blisko ucha, że wyraźnie uczułem jej pęd — zrobiło mi się trochę, powiedzmy, nieswojo.

Rzuciłem się wtedy odruchowo na lewy bok i... przypomniała mi się „dotkliwie” łopatka.

— Prawda — przecież mam łopatkę! — Dalejże kopać wnek strzelecki.

Niemrawo zabrałem się do roboty, leżąc najpierw na prawym, później na lewym boku. Stwardniały ugór i ciężka gleba opornie ustępowała pod wążkami ciosami.

Przecież po kilkunastu minutach usypałem przed głową niezły kopczyk.

W chwilę później ułożyłem się wygodnie we wnętrzu i oparłem mój nowiutki karabin na przedpiersiu.

Głowy nie wychylałem. Bo i poco? Przeciwnika i tak nie zobaczę, a kulki gwizdzą tak natrętnie...

W pewnym momencie usłyszałem trzy klapnięcia, jakby ktoś macką bił muchy na ścianie.

Wyjrzałem. Na uklepanej glinie przedpiersia widniały trzy lejkowate otwory...

— Patrzcież! patrzcież! To jednak ten bisurman do mnie strzelał!

Teraz dopiero oceniłem wartość łopatki. Gdyby nie ona — owe trzy pociski równie gładko znalazłyby sobie siedlisko w mojej głowie.

— Uf! — zrobiło mi się gorąco, a potem zimno!

Pogłaskałem czule moją łopatkę. Za chwilę zwinęliśmy linję, a w moment później 3 szrapnele rozprysły się nad stanowiskiem, wytryskując trzema barwami pióropuszków na tle jasnego nieba. Trzeba przyznać, że dzień nie był nudny.

Najwyższe na świecie obserwatorium astronomiczne. W Pamirze (Tadżikistan) zostało otwarte nowe obserwatorium na najwyższej, jak dotychczas, wysokości 4300 stóp nad poziomem morza. Budowa tego obserwatorium odbywała się w niezmiernie trudnych warunkach. Szczególnie uciążliwy był przewóz na wielbłądach i koniach materiałów budowlanych poprzez lodowce, skały i moreny, na których nigdy jeszcze nie spoczęła stopa ludzka. Obecnie 5-ciu obserwatorów sowieckich, zupełnie odciętych od świata, spędzi tam cały rok, celem dokonania obserwacji naukowych.

JAN ROSTOCKI

Margrabstwo Brandenburskie

Opanowawszy ziemie słowiańskie nad Łabą, w okolicach jeziora Morzyckiego, aż do źródeł rzeki Hoboli — ks. Albrecht Niedźwiedź w r. 1126 rozpoczął — dla umocnienia swej władzy — ściągając osiedleńców, którzy chętnie wędrowali w te strony, gdzie życie wygodne, dostatek, a niekiedy uwolnienie od kary za zbrodnie spodziewali się znaleźć. Razem z Albrechtem przybyli wierni jego słudzy, rycerze, a za nimi śpieszyli inni wojownicy, by posiąść gotowe osady słowiańskie i dorobić się bogactw, tem bardziej, że nowy władca chętną ręką rozdawał sługom swym ziemie i dobra, konfiskowane niepokornej szlachcie słowiańskiej. Znalazszy się w tym kraju, tak różnym od okolic reńskich, z których się głównie wywodzili, gdzie wszystko było wolno, gdzie ludność ujarzmiona, gotowa była ciągle do powstania, musieli przybysze żyć w ustawicznej czujności i rygorze wojskowym, całą uwagę mając skierowaną na utrzymanie w posłuszeństwie zdobytego kraju.

Wzrastające w takich warunkach młode pokolenie zdobywców wyrabiało w sobie charakter, który później został narzucony prawieże całemu społeczeństwu niemieckiemu. Rycerz brandenburski stał się typem wojownika o instynktach pierwotnych, zawsze gotowego do grabienia cudzej własności, obojętnego na krzywdy uciśnionych i miłosierdzie, który przedewszystkiem kierował się interesem i wyrachowaniem. Nic dziwnego, że Słowian tylko tak długo cierpieli, dopóki byli potrzebni, że zniknięciem potrzeby wypierali ich z ziem ojczywej, obojętni na to, że skazują ich tem samym na śmierć z nędzy.

Pierwszy atak niemczyzny zwrócił się przeciwko grodom i miastom słowiańskim, zamieniając je w krótkim czasie na modłę niemiecką. Takim miastem był np. Berlin, znany w r. 1244 jako osada parafjalna, a w r. 1252 jako miasto, początkiem swym natomiast sięgający w czasy o wiele odleglejsze. Nazwa, zwyczajem słowiańskim, została utworzona od charakteru miejscowości, która i teraz jeszcze jest błotnista i podmokła: barliny.

W XII i XIII wieku nienawiść plemienna, podniecana fanatyzmem religijnym, była główną podniętą do tępienia Słowian, jako „poga-

nów, krzyża Chrystusowego nieprzyjaciół”. W XIV i XV w. natomiast pogan w Margrabstwie Brandenburskiem nie było zupełnie, mimo to przesładowanie Słowian trwało w dalszym ciągu.

Słowianie w tym wieku, jako osobna warstwa społeczna, istnieć przestali. Rzadko tylko rozrzucone po kraju znajdowały się małe osady, zamieszkałe przez napół wynarodowionych chałupników i rybaków. Reszta, rozproszona po całym kraju, niepewna jutra, szukała przytułku i pożywienia w miastach lub na folwarkach pańskich.

Czyż tak rozbita ludność miejscowa mogła wzbudzać w umysłach zdobywców obawę?

A jednak dzieje świadczą, że tak było rzeczywiście, że w tym właśnie czasie, kiedy wynarodowienie Słowian dobiegało końca, surowe przepisy, przepojone nienawiścią rasową, miały na celu odsunięcie nawet wynarodowionych Słowian od praw zwyczajnego obywatela. I tak z biegiem czasu prawie wszystkie miasta brandenburskie ustanowiły przepisy, zabraniające Słowianom nadawania praw obywatelskich, korzystania w miastach z zarobku na drodze przemysłu, handlu lub jakiegokolwiek zatrudnienia. W mieście Brandenburgu (Branibor) szewcy i garbarze w r. 1424 postanowili przyjmować do swoich cechów tylko takich, którzy złożą dowody pochodzenia czysto germańskiego, bez żadnej zmazy słowiańskiej.

Za szewcami wślad poszli również piwowarzy w r. 1473. W Nowym Rupinie członkowie cechów pozwalali swym córkom wychodzić zamaż tylko za ludzi uczciwych, t. j. urodzonych z rodziców i przodków — prawdziwych Niemców. W częstych wypadkach paragraf germański stosowany był do żon członków cechów, które, podobnie jak mężowie, udowodnić musiały swoje pochodzenie. Podobne przepisy — z niewielkimi zmianami — ustanawiano jeszcze w XVI w. t. zn. w czasie, kiedy Słowianie w tych stronach zupełnie znikli, a to z obawy, aby czystość „znakomitej” krwi germańskiej nie została skażona przez domieszkę słowiańską. Nienawiść dochodziła do tego, że aż do połowy XVI w. Słowianom nie wolno było posiadać w miastach własności nieruchomości, ani nawet osiadać w nich.

Do wieku XVII pozostałości po Słowianach w Brandenburgii było bardzo wiele, ale wojna trzydziestoletnia, wyniszczycielska całe okolice, spowodowała ogromne zmiany: masa najbiedniejszej ludności słowiańskiej, napół wynarodowionej wyginęła z nędzy. Na miejscu osad spalonych osiedli kolonistów z nad Renu z Holandji, Brabantu, Szwajcarii, Francji i Niemiec południowych, zakładając osady, nie mające żadnej łączności z miejscową przeszłością. Zniszczenie, dokonane w czasie wojny trzydziestoletniej, w gruncie rzeczy wyszło Niemcom na dobre, pomogło im bowiem do pozbycia się tradycji słowiańskich. Od tego czasu dopiero imiona i nazwy czysto niemieckie zastępują dawniejsze nazwy słowiańskie, nazwy miejscowości zaś przekreślone, przybierają do dziś trwającą formę.

Dopóki jednak istnieć będą zapiski i dokumenty historyczne, świadczyć one muszą, że nad rzeką Hobolą i Sprewą panuje teraz nie wyższy i czysty naród, ale zbiegowisko ludzi najrozmaitszego pochodzenia, zlepek różnych obyczajów i gwar, nie mający nawet nazwy narodowej, krwią i żelazem scementowany — pod nazwą Brandenburczyków do czasu, kiedy zbieg okoliczności nie przyniosł im innej, odziedziczonej po wymordowanym plemieniu — nazwy Prusaków!

Strajkujący szoferzy w Nowym Jorku biją pasażerów. Strajk szoferów taksówkowych w Nowym Jorku doprowadził do poważnych zaburzeń, zwróconych nie tylko przeciw tym szoferom, którzy się do strajku nie przyłączyli, lecz także przeciw ich pasażerom. Na skrzyżowaniu Broadwayu z 76 Avenue wprowadzono z taksówkami pewną panią i pobito ją do utraty przytomności. Czterdziestu szoferom zniszczono samochody; strajkujący przy pomocy motłochu ulicznego wybijali w samochodach szyby i wyrzucali drzwiczki.

Ośm dni więzienia za całus. Wedle „Mitropress“ pewien młody oficer amerykańskiej marynarki wojennej został skazany w Nowym Jorku na ośm dni więzienia za niewłaściwe zachowanie się na miejscu publicznym.

Przyczyną było pożegnanie, a właściwie całus, złożony przez niego przy pomocy okrętowym na ustach przyjaciółki, która go odprowadziła do portu. Oczywiście wyrokowi temu musiał się poddać.

JAN KWIETNIAK

Jak zmusić drzewa owocowe do owocowania

Nieraz słyszy się narzekania, że drzewa owocowe nie owocują. Ażeby zadać raz na zawsze kres tej kłęsce, rozpatrzmy wszystkie czynniki, które mają bardzo wielki wpływ na płodność naszych sadów.

Jedną z najważniejszych przyczyn nieowocowania drzew jest za gęste ich posadzenie. Przy sadzeniu trzeba bezwzględnie przestrzegać tego, aby ustalone praktyką odstępy między poszczególnymi rodzajami drzew owocowych były ściśle przestrzegane, a więc: jabłonie należy sadzić w odstępach 10—15 m, grusze 8—12 m, czereśnie 4—10 m, wiśnie 5—7 m, śliwki 5—7 m, brzoskwinie-morele 3—5 m, porzeczki 1½—2 m, agrest 1—1,5 m, orzech włoski 12—18 m. Na glebach żyznych stosować należy największe odległości, na glebach zaś jałowych — najmniejsze. Pamiętać także trzeba o tem, że pod żadnym warunkiem nie wolno sadzić żadnego drzewa głębiej, niż ono rosło w szkółce, za głębokie bowiem sadzenie drzew, które, niestety, spotyka się bardzo często, jest również jedną z przyczyn nieowocowania, a co najgorsze „rakowacenia” drzew.

Podane wyżej odległości pomiędzy drzewami muszą być przestrzegane z tego powodu, że drzewa korzeniami swymi sięgają znacznie dalej, aniżeli zasięg korony, stąd też nie można ludzić się tem, że skoro korony drzew jeszcze się nie spotykają, to drzewa są dobrze rozmieszczone. Gęsto posadzone drzewa przeszkadzają sobie we wzroście, korzenie ich płaczą się, a rezultatem tego jest to, że wszystkie cierpią na brak pokarmów i dlatego nie rodzą owoców.

Oprócz prawidłowego sadzenia, zapewniającego drzewu dostateczną potrzebną mu do życia i owocowania ilość pokarmów, czerpanych z ziemi, trzeba jeszcze drzewu zapewnić dużo światła i powietrza. Należy zatem zagęszczone korony przerzedzać, wycinając te gałęzie, które się krzyżują i wzajemnie sobie przeszkadzają.

Nie trzeba żałować gałęzi, obawiać się, że ta operacja zaszkodzi drzewu. Wycięcie zbędnych, rosnących do środka drzewa gałęzi przyczyni się do zwiększenia dostępu powietrza, a co najważniejsze — dostępu słońca.

Lepiej mieć owoców mniej, ale za to mieć dorodne, niż dużo drobnych, które kupuje się za bezcen.

Przyczyną złego owocowania może być także nieodpowiedni dobór odmian. Przed sadzeniem drzew trzeba się dowiedzieć, jakie odmiany w danej okolicy najlepiej rodzą, a to dlatego, że wiele jest takich odmian, które same się nie zapylają, a zapyla je dopiero pyłek z drzew innych.

Doświadczenia wykazały, że na znanych 65 odmian jabłoni, zaledwie 13 jest takich, które się same zapylają, na 30 odmian grusz-tylko 4, na 40 odmian śliw zaledwie 5. Widać więc dokładnie z tego, że koniecznym warunkiem owocowania tych drzew, które same się nie zapylają, jest pyłek z pręcików innego drzewa, który powinien paść na słupek kwiatu drzewa niezapylającego się. Wtedy dopiero dana odmiana może wydać owoce.

Zapylenie drzew zależy jest w bardzo dużym stopniu od pogody, jaka panuje w okresie kwitnienia. Dni słoneczne i lekki wiatr sprzyjają zapyleniu, deszcz zaś, wichury lub co najgorsze — mróz, utrudniają lub nawet — jak w wypadkach mrozu — niszczą cały kwiatostan.

Człowiek ma wielkiego sprzymierzeńca w zapyleniu drzew. Jest nim pszczoła. Na podstawie obliczeń stwierdzono, że na 100 obecnych w sadzie różnych owadów w okresie kwitnienia drzew, znaleziono 88 pszczół, 6 pszczół dzikich, 6 much, os oraz mrówek. Świadczy to, że pszczoły są najważniejszymi pośrednikami przy zapyleniu.

Jeżeli się jeszcze weźmie pod uwagę i to, że pszczoła — odmiennie od innych owadów — oblatuje podczas wylotu tylko kwiaty jednego rodzaju, a więc np. jabłoni, a nigdy jabłoni, grusz lub jeszcze inn. gat. — to widzimy, że znaczenie jej dla zapylenia, a w dalszym ciągu — wpływ na płodność drzewa — jest pierwszorzędnej wagi!

Skoro sprawdzimy, że dana odmiana nie owocuje, zaraz trzeba ją przeszczepić na taką odmianę, która będzie rodziła.

Owocowanie drzew utrudnia w dużym stopniu zaniedbany stan gleby w sadzie. Kto chce w sadzie zbierać siano, musi się na jedno zdecydować, że albo chce mieć łąkę, albo ogród owocowy!

W sadzie gleba pod drzewami musi być regularnie uprawiana, a nigdy twarda, zbita, jak klepisko w stodole, na którym nawet trawa nie porośnie, a co dopiero drzewa owocowe!

Najlepiej między drzewami uprawiać warzywa (nigdy zboże), a wtedy uniknie się potrzeby osobnej uprawy ziemi. Aby drzewa rodziły, trzeba użyźnić ziemię nawozami: azotowemi, fosforowemi i potasowemi, a oprócz tego — przynajmniej raz na 5 lat — dawać niegaszone rozproszkowane wapno, które w bardzo dużym stopniu przyczynia się do spulchnienia ziemi. Wapno przede wszystkim należy dawać na glebach ciężkich.

Przyczyną nieowocowania może być także zbyt silny wzrost drzewa, które dzięki nadmiarowi azotu w glebie, bujnie rośnie, a wszelkie soki, czerpane korzeniami z ziemi, zużywa na wzrost, a nie na rozwój pączków owocowych.

W wypadkach więc bujnego wzrostu drzewa, nie tworzącego pąków owocowych, hamujemy dopływ soków przez okopanie rowu w promieniu 2 m od pnia. W ten sposób — przez przecięcie korzeni — zatamujemy dopływ soków z ziemi, co spowoduje mniejszy wzrost, a w dalszym ciągu — zużycie nadmiaru soków na wytworzenie owoców. Zamiast kopania rowu, można także obciąć przy pniu ze dwa duże korzenie, a skutek będzie ten sam.

Trzecim sposobem jest obrączkowanie. Polega ono na tem, że na gałęzi drzewa, na szerokości pół centymetra, wycinamy wokół korę, wraz z łykiem, aż do drzewa. Krążące z liści do korzeni soki zostaną na tej przeszkodzie zatrzymane, nie spłyną w dół, a wskutek nagromadzenia się ich w nadmiarze powyżej obrączki, spowodują powstanie pąków owocowych.

Soki w drzewie krążą dwoma drogami — drewnem, wewnątrz drzewa, aż do liści, i drugą — z liści, przez łyko kory, aż do korzeni. Przemiana materji następuje w liściach, które są żołądkiem i płucami drzewa.

Obrączkowanie należy wykonywać bardzo ostrożnie, gdyż jest to robota chirurga, ciężka operacja, która może się zgubnie odbić na zdrowiu drzewa.

Ranekę po obrączkowaniu trzeba — dla ochrony przed gniciem — zasmarować maścią ogrodniczą.

W zawierusze ognia i krwi

(Ciąg dalszy).

Halszka po przeczytaniu depeszy zbladła tak znacznie, że zauważył to nawet Justyn.

— Co ci się stało? — spytał zaniepokojony. — Pokaż mi tę depeszę!

— Ech, głupstewko! — burknęła w odpowiedzi. — Nie warto sobie tem zaprzętać głowy!

Ale Justyn domagał się koniecznie przeczytania, więc — chcąc nie chcąc — musiała się na to zgodzić.

Potem zapadła długa chwila denerwującej ciszy.

Co będzie dalej? — Pytanie to zawisło nad ich głowami, niby nieszczęsne fatum. Gdyby teraz tak niespodziewanie przyjechał hrabia Wühlmen, odkryłoby całą sprawę. Halszka powędrowałaby do więzienia, a potem niechybnie zawisłaby na stryczku, albo rozstrzelaliby ją gdzieś w ponurych kłamatach więziennych. Justyn nieweselej skończyłby swój żywot. Zgniłby tu zapewne w szpitalu, oplwany i pogardzany.

— Musimy uciekać! — zdecydował twardo komandor. — Musimy stąd zwać jak najprędzej. — Jesteś jeszcze za bardzo osłabiony!

Komandor rzeczywiście przeceniał swoje siły, ale sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Halszka jednak wiedziała, że zamiar ten jest niewykonalny. Ażeby dobitnie przekonać ukochanego, kazała mu na chwilę opuścić łóżko. Daremne jednak były wysiłki Justyna. Był tak osłabiony wpływem krwi, że zaledwie mógł poruszyć ręką.

— No, widzisz?! — niebieskie oczy Halszki zaszkliły się łzami. — Musimy tu jednak zostać!

W oczach rannego zamigotał dziwny blask.

— Nie, Halszko, ty musisz uciekać, musisz! Ojczyzna ciebie woła. Jesteś potrzebna. Kto wie, jak długo jeszcze potrwa wojna.

Halszka, oczywiście, nie zwracała nawet uwagi na jego namowy. Pełna była nadziei, że ze sytuacji tej jakoś wyjdą, a na ustach miała tylko jedną i tę samą odpowiedź:

— Łatwiej się znosi wspólnie nieszczęście, niż samemu.

Tymczasem — niewiadomo dlaczego przyjazd hr. Roberta Wühlmena opóźnił się. Podobno w ostatnich dniach sam Führer zamianował go tajnym radcą wojennym. Dowiedział się o tem pokątnie naczelnik szpitala, dr. Engelhardt, który też natychmiast pośpieszył z życzeniami do pani hrabiny.

Pani hrabina jednak z niewiadomych dla naczelnego lekarza względów — okropnie go nie lubiła. Niechęć swą dawała wyraz w każdej chwili. I teraz też, składając pani hrabinie serdeczne życzenia z powodu tak bardzo zaszczytnej nominacji jej męża, usłyszał tylko krótkie odburknięcie, które w niczem nie przypominało podziękowania.

Dr. Engelhardt znalazł się w olbrzymim lesie zagadek. Wiele rzeczy było dlań niejasnych,

i zupełnie niezrozumiałych. — Świat się chyba teraz do góry portkami powiesił — myślał z gorczyzą, obchodząc obszerne sale szpitalne. Zły był, jak ostatni szewc z berlińskich przedmieść. Złość swą wylewał przedewszystkiem na chorych i rannych, którym na wszelkie niedomagania, wewnętrzne czy zewnętrzne, przepisywał jedno i to samo — aspirynę i rycynę. Gdy któryś z chorych nie chciał przyjąć zbawczego rycynusu, kazał mu wypompowywać żołądek. Metod tych zresztą sam nie wymyślił. Przejął je żywcem od starszych kolegów, którzy praktykowali jeszcze za czasów wojny światowej.

Życie w szpitalu wojennym w Mirendorf układało się dr. Engelhardtowi szaro i jednostajnie. A przecież nie o takim życiu on marzył! Chciał zrobić karierę, olbrzymią, niebywałą, któraby wszystkich jego kolegów wprawiła w nieklamany zachwyty.

Ponieważ na swoje zdolności lekarz nie mógł liczyć, gdyż ich wcale nie miał, pozostała mu jeszcze druga droga — protekcja. Trzeba jak najodpowiedniej wykorzystać pobyt hrabiny May-Wühlmen w szpitalu, a można jeszcze w krótkim czasie zaawansować na stanowisko naczelnego lekarza wojennego!

— Herr Doctor! — przerwał rozważania naczelnego lekarza młodszy praktykant, student medycyny. — Czy mógłbym z panem porozmawiać gdzieś na osobności.

— Co nowego?

— Właśnie, panie doktorze, w sprawie tego Polaka i hr. May-Wühlmen.

Dr. Engelhardt omal nie krzyknął z nadmiaru radości. Chwycił silnie ramię praktykanta i obaj szybko wsunęli się w boczny korytarzyk.

— Mów! — rozkazał. — Tylko zwięźle i krótko.

— Panie doktorze! Zauważyłem, że hrabina i ten Polak utrzymują ze sobą jakieś bardzo podejrzane stosunki. Hrabina prawie pół dnia spędza w pokoju komandora. Oboje rozmawiają zawsze przyciszonym głosem.

— Nie odkrył pan jednak Ameryki, drogi panie Schmidt! O tem wie już teraz każda nasza posługaczka!

— Ale nie o to mi chodzi, panie doktorze! Chciałem tylko zaznaczyć, że oni się kochają i że gdy przyjedzie hr. May-Wühlmen, może wyniknąć okropny skandal.

Nagle dr. Engelhardtowi spadła wielka łuska z oczu. Tak, nie ulega wątpliwości, że tych dwoje łączy... miłość.

Oszolomiony tem odkryciem, dr. Engelhardt przebył kilkanaście razy wzdłuż i wszerz wszystkie korytarze i sale szpitalne, zanim się zdecydował wejść do mieszkania hrabiny. Zapukał nieśmiało dwa razy i gdy usłyszał energiczne zawołanie — „wejść“, najpierw wsunął tchórzliwie głowę, a potem cały swój korpus do pokoju Halszki.

— Najmocniej przepraszam panią hrabinę — rzekł na progu, gnąc się w ukłonach — ale przychodzę do pani z bardzo ważną wiadomością, co mnie poniekąd usprawiedliwia.

— Słucham!

— Otrzymaliśmy, proszę pani, wiadomość, że jutro na pewno przyjeżdża pan hrabia.

— I co dalej?

Zapytania Halszki były zupełnie obojętne, co w poważnym stopniu zbijało z tropu dr. Engelhardta. Pomny jednak celu swej niezwyklej wizyty, lekarz ciągnął dalej:

— Właśnie w związku z tem, mając na celu wyłącznie dobro pani hrabiny i jej... pana komandora...

— Co to ma znaczyć! — przecięła Halszka twardo wywody lekarza. — Do czego pan zdąża?

— Powoluję, proszę pani hrabiny! Chciałbym zawrzeć z panią umowę, taką maleńką umowę. Ale pani pozwoli, że najpierw przedstawię całą rzecz. Otóż chodzi o to, że gdyby Polak został tu u nas, a mąż pani przyjechał, mógłby wyniknąć z tego mały skandalik, z wielce smutnym końcem dla obydwu stron. Ośmielam się więc pani hrabinie przedstawić takie rozwiązanie sprawy: komandora przeniesiemy do mojej prywatnej kliniki, gdzie już oddawna nie urzęduję. Pani będzie — oczywiście — mieszkała tu nadal w roli ofiarnej pielęgniarki i w wolnych chwilach odwiedzała swego ukochanego. A mążulek o niczem nie będzie wiedział.

W Halszce zatrzepotało serce, jak ranny ptak. Z trudem musiała się hamować, ażeby nie zdradzić doktorowi, jak jej bardzo na tem zależy. Na wszelki więc wypadek wołała zachować milczenie.

— Czy pani hrabina się waha? — zapytał strwożony lekarz. — A może... może...

— Tak jednak będzie najlepiej, jak pan proponuje, doktorze — wyrzekła po chwili. — I byłabym nawet panu wdzięczna, gdyby pan to zrobił jak najszybciej, natychmiast.

— Wedle życzenia pani hrabiny. Ale jeszcze chciałbym porozmawiać z panią hrabiną w pewnej bardzo drażliwej materji...

— Chodzi o wynagrodzenie?...

— O tak, łaskawa pani!

— Więc czego pan chce?

Pytanie było ostre i bezwzględne. Dr. Engelhardt poczuł się, jakby uderzony różgą w twarz. Zdobył się jednak na szczyt odwagi i bezczelności. Odpowiedział więc z miejsca:

— Chciałbym objąć stanowisko naczelnego lekarza armji niemieckiej.

— A to w jaki sposób?

— Dzięki przemożnej i łaskawej protekcji pani hrabiny.

Halszka uśmiechnęła się niespostrzeżenie pod nosem i rzekła:

— Zrobi się! Niech pan jednak dla pewności wypisze swe żądania na papierze, ażebym mogła je sobie w każdej chwili przypominać. Tyle różnych spraw mam na głowie, że pan — przypuszczam — nie policzy tej prośby na karb jakiegoś mego dziwactwa.

— Ani przez chwilę, pani hrabino!

— I jeszcze jedno, doktorze. Niech się pan z tem wszystkim załatwi jak najszybciej. Zostawiam panu do dyspozycji dziesięć minut, w których pan wypisze swój „dziejowy dokument“ i wyśle komandora do kliniki.

Dziesięć minut! Stanowczo za krótki czas. ażeby móc należycie wywiązać się aż z tylu spraw.

Biegł więc naczelnny lekarz szpitala tam i zpowrotem, ażeby wydać odpowiednie zarządzenia. Kiedy więc w chwilę potem zasiadł przy swem biurku, pot kroplisty występował mu na czoło, a ręce drżały, jak w febrze.

— A to mi się upiekła okazja! — mruzczał zadowolony.

Według uznanej powszechnie zasady: „to ci dają, o co prosisz“ — dr. Engelhardt prosił o bardzo wiele. Po chwilowem zastanowieniu rzekł się nawet stanowiska naczelnego lekarza wojennego, obejmując raczej tekę ministra zdrowia. Zastrzegł sobie pensję w wysokości 15 tysięcy marek, a po dymisji — na wypadek zmiany rządu — dożywotnią emeryturę na takich samych warunkach.

Swe nadmiernie wygórowane roszczenia dr. Engelhardt uzasadniał tem, że wynalazł zadziwiający zastrzyk, który wyszlachetnia rasę i przeczyszcza krew.

Pióro skrzypiało w gabinecie lekarza, a miarowe tykanie ściennego zegara — symbol uciekającego czasu — nagliło go do jeszcze większego pośpiechu.

Kilka okropnych żydów zdobyło „dziejowy dokument“.

Dr. Engelhardt odetchnął z ulgą, kiedy już z gotową deklaracją biegł do „pani hrabiny“. Halszka udawała, że z uwagą ją czyta, a później rzekła z dostojną miną:

— Zrobi się, doktorze! Użyję swoich wszystkich wpływów i stosunków!

Podawała mu rękę, udając, że jest serdecznie ustosunkowana do jego prośb.

Gdy jednak doktor opuścił jej pokój, nie mogła już wytrzymać. Rzuciła się na krzesło, ogarnięta gwałtownym spazmem śmiechu. Przypomniał jej się bowiem jakiś film, który widziała w dzieciństwie. Pewien oszust i „naciągacz“ warszawski potrafił sprzedać naiwnemu gospodarzowi wiejskiemu, który dzięki spadkowi w kilku dniach został bogaczem, pomnik Kopernika, kolumnę Zygmunta i warszawskie tramwaje.

W godzinę potem Halszka naradzała się z Justynem w prywatnej klinice dr. Engelhardta nad sposobami ucieczki. Oboje byli ze zrozumiałych powodów rozradowani i dziękowali Opatrzności, że takim kruczkiem udało im się wyjść ze szpitala.

— W jaki sposób dostaniemy się teraz do kraju?

Pytanie to zawisło nad nimi, domagając się natychmiastowej odpowiedzi. Lada chwila bowiem może nadjechać hrabia Wühlmen i mogą im wyjazd uniemożliwić.

Halszka chodziła naokoło obszernego pokoju, pocierając zawzięcie czoło. Był to nieomylny znak, że myśli.

Wtem zadzwieczał telefon. Dźwięk jego był ostry, przeraźliwy.

— Hallo! jestem przy telefonie! hr. May-Wühlmen.

— Co, już przyjechał! Niech mu pan powie, że wyszłam na miasto razem z siostrami miłosierdzia odwiedzać chorych i ułomnych. Wrócę dopiero za kilka godzin!

— Co? Mąż się niecierpliwi? Niech mu pan powie, że dobro ojczyzny stawiam zawsze przed szczęściem osobistym. Dowidzenia!

U NAS I ZAGRANICĄ

WIADOMOŚCI Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Życie każdego stworzenia wisi zawsze, jak na włosku! — rzekł na odchodnym *redaktor* do *gryfa-sprawozdawcy*. — Pilnuj się i nie nadstawiaj zbyt ochoczo swego karku w niewyraźnych sytuacjach. Ktoby nam, dziecinko, zbierał wiadomości ze świata, gdybyś marnie skończył swój żywot?

Gryf postanowił bardzo ostrożnie latać, a nos wsadzać tylko tam, gdzie jest przynajmniej jakakolwiek gwarancja bezpieczeństwa.

W bieżącym tygodniu *gryf* doszedł do ciekawego wniosku — że *dzisiaj życie ludzkie nie posiada wartości, że pomiatą się niem, jak starą szmatą do wycierania butów!*

Np. w ciągu jednego tylko dnia (3. II. 34.) dokonano w czterech wielkich miastach amerykańskich zuchwałych napadów bandyckich na instytucje finansowe, przyczem łupem bandytów padło ogółem kilkanaście istnień ludzkich i blisko 2 miliony dolarów.

Krwawy przebieg miał napad na bank w Wildham (stan Massachussetts), gdzie między bandytami, a personelem banku wywiązała się ostra strzelanina, w wyniku której kilku urzędników zostało zastrzelonych.

Na ludzi czyhają wypadki nie tylko ze strony ludzi, ale i ze strony sił natury. W ub. tygodniu *gryf* donosił o wielkim trzęsieniu ziemi, które miało miejsce w Indjach. Raz po raz słyszymy o podobnym wypadku i już nawet przestajemy się dziwić.

Ale bywa i tak, że śmierć, która już, już zaglądała w oczy, odwróciła się i poszła. Wypadek taki miał miejsce w zatoce miasta Sydney, gdzie urządzono t. zw. morski karnawał w połączeniu z „morskim danciem”. Na ogrodzonej przestrzeni odbywał się konkurs pływacki, połączony z danciem pływackim. Tłumy osób w jaskrawych kostiumach popisywały się rozmaitemi figlami w wodzie, gdy nagle pośrodku gości pojawił się rekin. Wynurzywszy się z wody, błysnął zębami i uśmiechnął się do wesółych balowiczów. Ci jednak odpowiedzieli mu krzykiem, poczem w straszliwym popłochu poczuli zmykać w stronę brzegu. Rekin opłynął cały obszar, ogrodzony sznurami i oddalił się spokojnie na głębie.

Złośliwi twierdzą, że rekin musiał być bardzo stary, albo... bardzo głupi. Kto to zresztą może stwierdzić?

Ale tak, czy owak, człowiek nigdy się nie wymiga śmierci.

Np. ostatnio w Zochomillo, pod Meksykiem, zmarła 110-letnia Indjanka, Sandoval, osierocając przeszło 100 potomków. W Meksyku żyje jeszcze kilkanaście kobiet, liczących ponad 100 lat życia. Ich senjorka doszła już do 123-ej „wiosny”.

Większość ludzi żyje jednak znacznie krócej i normalnie w siódmej, albo ósmej dziesiątce życia przenosi się na łono Abrahama.

Ludzi sławnych pragnęłoby się na wieczne czasy zakonserwować, ażeby ciało ich nie uległo gniciu. Szczególnie bolszewicy pragną w ten sposób uwiecznić swego Lenina.

W związku z 10-tą rocznicą śmierci „ojca” rewolucji rosyjskiej, Lenina, prof. Worobiew i Zbarski w Moskwie otrzymali wysokie odznaczenia „za nadzwyczajne zasługi w sprawie zachowania zwłok Lenina”. Okazuje się przytem, że obaj ci uczeni w ciągu ostatnich 10 lat tylko zajmowali się jego mumją, wystawioną — jak wiadomo — na widok publiczny w mauzoleum na Czerwonym Placu w Moskwie.

Istotnie — powiodło się im też w sposób do pewnego stopnia rekordowy zakonserwować zwłoki tak, że czynią one wrażenie człowieka śpiącego. Pierwotnie nie spodziewano się atoli, iż możliwym będzie uzyskać to na czas dłuższy, niż kilka miesięcy. Wobec znakomitych wyników, uzyskanych jednak pod tym względem, poczyną się dzisiaj powszechnie w Rosji wierzyć, iż wódz bolszewickiego przewrotu jest już „na zawsze” zabezpieczony. Spoczywa on w zwyczajnym mundurze koloru khaki, nogi są jednak okryte czerwona tkaniną jedwabną. Ku niemałemu zaniepokojeniu odnośnych sfer okazało się jednak w dniach ostatnich, że na jednym z palców lewej ręki wystąpiły czarne plamy, wobec czego zachodzi konieczność zastosowania nowych środków konserwacyjnych. Plamy te dowodzą bowiem, że mimo wszystko czas robi swoje.

Ludzie nie mają zamiaru umierać śmiercią naturalną. W każdym tygodniu słyszymy o nowym wynalazku, który na wypadek wojny oddałby „nieocenione usługi”. Np. znany wynalazca hiszpański, De La Cierva, wynalazł nowy model autogyro, t. zn. samolotu, który startuje w kierunku pionowym. Model ten, wybitnie udoskonalony w porównaniu z poprzednimi modelami inż. La Cierva, został zakupiony przez ministerstwo lotnictwa we Francji.

Myśli o śmierci i wojnie napełniły *gryfa* smutkiem. *Redaktor* musiał go rozweselić odczytaniem działu „Świat na różowo” z „Mł. Gryfa”.



W powietrzu, na ziemi i na wodzie

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA SPORTOWEGO

W niedzielę, 4 bm. odbyły się na ślizgawce, przy ul. Moniuszki w Toruniu, zawody łyżwiarskie o mistrzostwo Torunia, urządzone przez TKLT.

Rano odbyły się biegi na 500 i 1500 m. Startowało 6 zawodników. Pierwsze miejsce zajął pan Kling, 2-gie p. Dolewski, 3-cie p. Kurtz z Sokoła. Czas p. Klinga na 500 m — 66 sek., na 1500 m — 3 m. 44 sek.

Po biegach odbyła się jazda sztuczna pojedynczo i parami z wykonaniem przepisanych figur, zaś jako druga część tej konkurencji — jazda dowolna odbyła się wieczorem o godz. 18 przy świetle reflektora.

W niedzielę 4 bm. na boisku gimnazjum państwowego w Toruniu odbył się trójmecz hokejowy pomiędzy drużynami: „Orleń” Grudziądz — „Grom” Chojnice i „GKS” Toruń.

Na wstępie odbył się mecz pomiędzy drużyną „Orleń” a „GKS”. GKS. wykazał zdecydowaną przewagę nad przeciwnikiem. Pierwsza tercja mija bez bramek, w następnej zaś padają trzy na korzyść GKS., w ostatniej przybywa jeszcze jeden punkt dla toruńczyków. Wynik 4:0 dla GKS.

Następna gra „Grom” — GKS. jest najciekawszym punktem programu i obfituje w ciekawe i emocjonujące momenty, bo upływa na obustronnych licznych przebojach. GKS. — pomimo usilnych starań i ofiarnej gry zawodników — nie potrafił złamać przewagi dobrze zgranych przeciwników.

Wyniki w poszczególnych tercjach: 1) 1:0 dla Chojnic, 2) 1:1, 3) 3:1 dla Chojnic. Ostateczny rezultat spotkania 5:2 dla gości.

Na zakończenie rozegrały mecz pomiędzy sobą obie drużyny gości. Od początku „Grom” wykazuje druzgocącą przewagę i kończy spotkanie wynikiem 12:0 na swoją korzyść.

Zwycięzcą więc trójmecz została zasłużenie drużyna chojnickiego „Gromu”.

Sędziował p. Goncarzewicz.

W niedzielę 4 bm. na lodowisku w ogródkach Jordanowskich w Toruniu rozegrane zostały zawody towarzyskie hokeja na lodzie pomiędzy drużynami ŁKS — Łódź i TKSZ — Toruń z wynikiem 0:0.

Gra nadzwyczaj ciekawa, prowadzona „fair”. Łodzianie górowali taktyką i szybkością jazdy. Wspaniałą klasę wykazał w ataku Król, którego przeboje były nader niebezpieczne, lecz przytomność bramkarza i wspaniała gra obrońców TKSZ udaremniały zdobycie bramki. W obronie gości wyróżniał się Rusinkiewicz. U miejscowych trio obronne, wzajemnie się rozumiejąc, stało na wysokości zadania. W ataku najłabszy Nagel. Kilka groźnych sytuacji podbramkowych, tak z jednej, jak i drugiej, strony, nie były należycie wykorzystane.

ŁKS wystąpił w najlepszym składzie: Jakubiec — Rusinkiewicz, Pryffer — Król, Załęski, Lutrosiński i Tadeusiński, Wiśniewski.

TKSZ.: Trenk — Szczerbowski, Dolecki — Nagel, Osmański, Głowiński i Ratajczak, Szarszewski, Drapiewski.

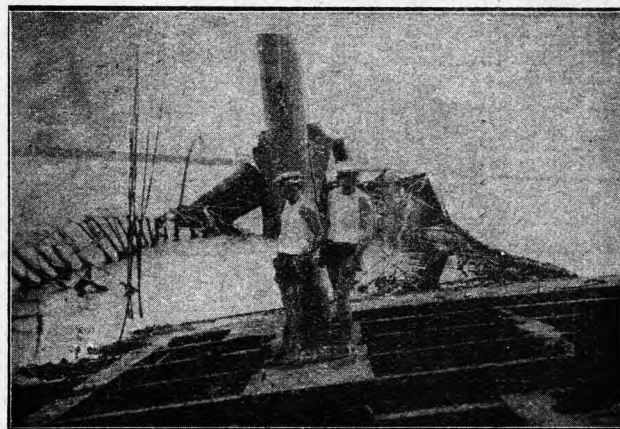
Dnia 2 lutego rozegrało ruchliwe Kółko Sportowe SMP., Toruń-Mokre, dwie rozgrywki ping-pongowe i to:

O godzinie 13 zawody z SMP. — Promień z Chełmży — z wynikiem 5:3.

Drugie zawody o godzinie 16 z SMP. N. M. P., Toruń z ogólnym wynikiem 8:6.

Gry odbywały się w atmosferze spokojnej, przy czym specjalnie wyróżnić należy Porsza — najmłodszego zawodnika.

Polscy marynarze płyną w obce światy...



Marynarze „Iskry” zwiedzają rumowiska zatopionego okrętu w pln. Afryce

W niedzielę 4 lutego odbyły się w Toruniu w Strzelnicy zawody bokserskie między klubami: „Gedania” z Gdańska a toruńskim „Gryfem”, który zakończył się wynikiem remisowym 6:6.

Z wiadomości toruńskich przejdźmy teraz do wydarzeń sportowych na miarę ogólnopolskich, które są równie ciekawe.

W ub. sobotę, na pięknym torze lodowym w Dolinie Szwajcarskiej odbywały się zawody w jeździe figurowej pań i panów o mistrzostwo Polski i w ramach igrzysk słowiańskich.

Zawody zgromadziły na starcie elitę zawodników polskich i czeskich. Odbyło się tylko wykonanie figur obowiązkowych. W konkurencji pań pierwsze miejsce zajęła Popowiczowa (Katowice) przed Czeską Mkszową. Obie zakwalifikowały się do finałowej rozgrywki w ramach igrzysk słowiańskich.

W konkurencji panów do finału igrzysk słowiańskich weszli trzej Czesi: Koudelka, Grek i Heinz, oraz trzej Polacy: Staniszewski, Iwasiewicz i Paweł Breslauer.

W drugim dniu finałowych rozgrywek hokejowych o mistrzostwo Polski odbył się mecz Czarni Lwów—Legja Warszawa, z wynikiem 1:0.

Wszystkie trzy tercje dały wynik bezbramkowy, wobec czego mecz został przedłużony. Jedyna bramka padła w 7 min. drugiej dogrywki.

TWÓRZMY POTĘGĘ LOTNICZĄ!

KĄCIK L. O. P. P.

ZBIGNIEW SIEDLECKI
pilot turyst. Aerokl. Gdańsk.

Szybownictwo w 1000 wierszach

Wstęp

Szybownictwo — jako najtańszy sport lotniczy — zdobywa sobie coraz większe rzesze zwolenników na całym świecie. W wyścigu na polu szybownictwa Polska w gwałtownym tempie dogania państwa, dotąd dalej w niem zaawansowane, jak Niemcy i Rosję Sowiecką. Jakościowo, t. j. jeśli chodzi o loty wyczynowe, poziom wykształcenia pilotów i działalność konstrukcyjną — szybownictwo polskie można już dziś śmiało postawić narówni z niemieckim czy sowieckim. Jedynie ilościowo narazie jesteśmy jeszcze w tyle poza sąsiadami, wyprzedzając już nawet niektóre państwa o starej kulturze lotniczej, jak Francja, Włochy, Anglja i St. Zjednoczone. Szybownictwo opiera się w swej pracy pozytywnej nie tylko na swej „armji czynnej“, jaką stanowią piloci, konstruktorzy, warsztatowcy oraz wszyscy inni ludzie, pracujący w niem bezpośrednio, lecz na szerokiej „bazie“, jaką stanowi społeczeństwo, dające ze siebie potrzebne fundusze i świeży materiał ludzki, t. j. kandydatów na pilotów szybowcowych i innych pracowników do „armji czynnej szybownictwa“. Społeczeństwo polskie (poza kilkoma ośrodkami) jest zbyt mało uświadomione o ważności szybownictwa, jego potrzebach i metodach pracy. Zadaniem serji artykułów, który niniejszy wstęp zaczyna, jest wypełnienie tej luki w literaturze propagandowej szybownictwa. „Armja czynna szybownictwa“ nie potrzebuje takiej lektury, tworząc sama jego krew. Szybownicy mają i korzystają z czasopism fachowych i bogatej literatury naukowej. Praca niniejsza jest dla „bazy“, t. j. dla społeczeństwa, przeważnie bardzo interesującego się szybownictwem, lecz mającego mało czasu na wertowanie czasopism fachowych, aby się w tem zagadnieniu dostatecznie orjentować.

Zadaniem pracy niniejszej jest:

- służyć poradą kandydatowi, interesującemu się szybownictwem, który — mieszkając zdala od ośrodków szybowcowych — pragnie w krótkiej drodze dowiedzieć się, jaką drogą dojść do pilotażu wzgl. szybowca,
- służyć krótkimi informacjami organizatorowi szybownictwa,
- przekonanie starszego społeczeństwa o niezwyklej wadze, doniosłości, taniości, bezpieczeństwie i korzyściach, z uprawiania szybownictwa płynących,
- ułatwienie zorientowania się w całokształcie szybownictwa osobom, które stały

dotąd zdala od szybownictwa, a nagle postawione zostały oko w oko z zagadnieniem czysto szybowniczym i mają wydać sąd, który nieraz na długi czas w danej miejscowości zaciążyć ma na losach miejscowego szybownictwa.

Np. dyrektor gimnazjum nie wie, czy zezwolić na założenie sekcji szybowcowej w jego zakładzie naukowym. Radny miejski ma jutro głosować nad wnioskiem o udzielenie przez Radę Miejską subwencji miejscowemu Kołu na budowę hangaru i waha się, jakie stanowisko zająć w tym wypadku. Starosta Powiatowy waha się, czy przyjąć na zebranie konstytucyjne organizującego się Koła Szybowcowego. Ojciec nie wie, czy zezwolić swemu synowi 16 letniemu na latanie na „jakichś tam szybowcach“ i t. p. Takich przykładów wymienić możnaby tysiące, a zachodzą one codzień.

Praca ta w następnych rozdziałach odpowiada zatem na pytania:

1. Co to jest szybowiec? (rysunek i wyjaśnienia).
2. Na jakiej zasadzie szybowiec lata?
3. Jak się szkoli na szybowcu?
4. Co to jest szybownictwo ślizgowe (niższe)?
5. Co to jest szybownictwo żaglowe (wyższe)?
6. Jakie mamy dyplomy pilotów szybowcowych w Polsce?
7. Jakie mamy typy szybowców w Polsce?
8. Czy wszędzie możliwe jest uprawianie szybownictwa?
9. Jaką drogą dojść do posiadania szybowca i jaki typ wybrać?
10. Czy szybownictwo jest bezpiecznym sportem?
11. Jakie przepisy normują szybownictwo w Polsce?
12. Organizacja szybownictwa w Polsce.
13. Co zrobiono dotąd na polu szybownictwa w Polsce i zagranicą?
14. Jak zorganizować Koło Szybowcowe i na co zważać przy przystępowaniu do organizacji?
15. Szybownictwo podstawą potęgi lotniczej Państwa.
16. Przyszłość szybownictwa.
17. Adresy wytwórni, władz i organizacyj lotniczych.

(C. d. n.)

Ofiary na samolot challeng'owy
przyjmują wszystkie Komitety L.O.P.P.
i Redakcje pism pomorskich.

Wszyscy w szeregach organizacji P. W.

Z ŻYCIA ORGANIZACYJNEGO

ZWIĄZEK STRZELECKI

Kurs wstępny dla komendantek oddziałów Związku Strzeleckiego w Toruniu

W pierwszych dniach po świętach Bożego Narodzenia rozpoczął się w Toruniu 1-szy na Pomorzu kurs wstępny dla komendantek oddziałów żeńskich Związku Strzeleckiego.

Kurs został zorganizowany przez Komendę Okręgu Zw. St. w Toruniu i był prowadzony w schronisku Towarzystwa Krajoznawczego, przy ul. Legionów 24.

Uczestniczek kursu było, poza 4 instruktorami, 38. Liczba ta jest jednak niewielka w stosunku do znacznej ilości zgłoszeń, które przed świętami wpłynęły do Komendy w Toruniu. Nie można było przyjąć większej liczby kandydatek, gdyż nie zezwalała na to szczupłość gmachu, w którym kurs kwaterował. Komendę nad całością sprawowała ob. Olga Krawczykowa.



Uczestniczki kursu wstępnego dla komendantek oddziałów Zw. St. w Toruniu

Kurs był prowadzony na wzór wojskowy. Sluchaczki przerabiały przede wszystkim program ogólny przysposobienia wojskowego kobiet. Obok niego poruszane były zagadnienia organizacyjne, dające podstawy do pracy w terenie i w oddziałach żeńskich Z. S., na stanowiskach komendantek oddziałów.

Kurs zakończył się dnia 17 b. m. Egzamin złożyło 36 kandydatek.

Tego samego dnia o godz. 19 nastąpiło uroczyste wręczenie świadectw poszczególnym absolwentkom. Chwilę tę zaszczytlił swą obecnością pp.: Wojewoda Pomorski Kirtiklis, D-ca O. K. VIII. generał Paślowski, inspektorka Komendy Gł. Z. S. Malanowiczowa z Warszawy, naczelnik Grzanka, b. kierownik Okr. Urz. PW i WF ppłk. Piwnicki, okręgowy insp. WF i PW, mjr. Hurczyn, zarząd toruńskiego żeńskiego oddz. Z. S. z prezeską, oraz członkinie miejscowego oddziału, które przyrządały herbatkę na uroczystość zakończenia kursu, wykładawcy kursu i zaproszeni goście.

Z chwilą wejścia p. gen. Paślowskiego na salę, komendantka uszeregowanych po wojskowemu absolwentek kursu melduje mu stan liczebny kursu. Następnie ob. Kobrynowi-

czowa, referentka Okręgu VIII. Z. S. wita serdecznie władze i wszystkich zebranych gości.

Zkolei komendantka kursu ob. Olga Krawczykowa zdała sprawozdanie z całokształtu działalności kursu, podkreślając, że jego wynik wypadł nadspodziewanie dobrze.

Po ob. Krawczykowej zabrał głos p. gen. Paślowski, dziękując Zarządowi Głównemu i Kom. Okr. Z. S. za powołanie kursu do życia. P. gen. wyraził nadzieję, że nowe instruktorki nie zawiodą pokładanego w nich zaufania, że pracą nad potęgą Polski, nad rozszerzeniem organizacji strzeleckiej dadzą dowód, że są prawdziwymi obywatelkami-Polkami, że w ofiarności dla Ojczyzny nie tylko nie pozwolą się zdystansować mężczyznom, ale potrafią niejednokrotnie służyć im przykładem. Na zakończenie p. generał wznosił okrzyk na cześć wskrzesiciela Polski i twórcy Związku Strzeleckiego — Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Dalej ob. insp. Malanowiczowa w imieniu własnym i Komendanta Z. S., pułk. Rusina, składa pierwszym przescholonym na Pomorzu strzelczynom serdeczne życzenia owocnej dla Polski działalności.

Na zakończenie oficjalnej części uroczystości p. generał Paślowski rozdał absolwentkom świadectwa, p. Wojewoda Kirtiklis zaś dwie nagrody za najlepsze postępy w nauce i jedną dla najwięcej koleżeńskiej uczestniczki kursu, poczem strzelczynie zaintonowały przez wszystkich odśpiewaną pieśń „Hej, Strzelcy”.

W części nieoficjalnej, przy „herbatce”, strzelczynie wykonały szereg inscenizacji, opartych na motywach ludowych i odśpiewały ochoczo podchwyczone przez obecnych piosenki żołnierskie i ludowe.

Wieczór zakończono krótką zabawą taneczną.

Z życia Związku Strzeleckiego w Sikorzu

Oddział Związku Strzeleckiego w Sikorzu, pow. Sępólno, urządził w święto Trzech Króli przedstawienie amatorskie w świetlicy na scenie własnego wykonania.

Odegrano dwie jednoaktówki p. t. „Gruba partja” i „Nieodparty argument”. Świetlica była przepelniona. Zauważono gości nawet z miasta Sępólna.

Amatorzy wywiązali się ze swych zadań nadzwyczajnie. Huczne oklaski, jakimi darzono amatorów, świadczyły o zupełnym zadowoleniu gości.

Jest to już w bieżącym sezonie drugi występ zespołu amatorskiego.

Obecnie przygotowuje się czteroaktówkę. Mamy nadzieję, że i to zadanie zostanie wykonane!

Oplątek strzelecki w Radojewicach, pow. inowrocław.

W niedzielę, dnia 21 stycznia, urządziły oddziały Z. S. żeński i męski, tradycyjną uroczystość „Oplątki Strzeleckiego” w świetlicy miejscowego oddziału. Uroczystość zagał miejscowy sołtys p. Groblewski. Następnie ref. wych. obywatelskiego, naucz. p. Sawicki powitał przybyłych gości, wygłaszając równocześnie krótkie przemówienie, w którym scharakteryzował znaczenie oplątku, poczem przystąpiono do łamania się oplątkiem. Dalszym punktem programu był wspólny posiłek przy suto zastawionych stołach, w czasie którego przygrywała orkiestra tut. Z. S. Następnie w pięknie udekorowanej świetlicy, przy zapalanej choince, śpiewano kolendy i recytowano deklamacje. Uroczystość zakończono skromną zabawą taneczną. Nastrój panował bardzo miły i serdeczny. W uroczystości powyższej wzięli udział: dowódca komp. Z. S. ob. Zurowski, wicepr. Zarządu obwod. obywu. Renert z małżonką, oraz nauczycielstwo z Góry i Dulśka.

Dbając o rozwój „Młodego Gryfa”,
stajesz się krzewicielem Idei
Polski Silnej i Mocarstwowej!

*Płonkowo, pow. Inowrocław, w 15-lecie oswobodzenia
z pod jarzma pruskiego*

Z inicjatywy miejscowego Związku Strzeleckiego odbyła się w niedzielę, dnia 21. bm., w Płonkowie podniosła uroczystość 15-lecia oswobodzenia tej miejscowości z pod jarzma pruskiego.

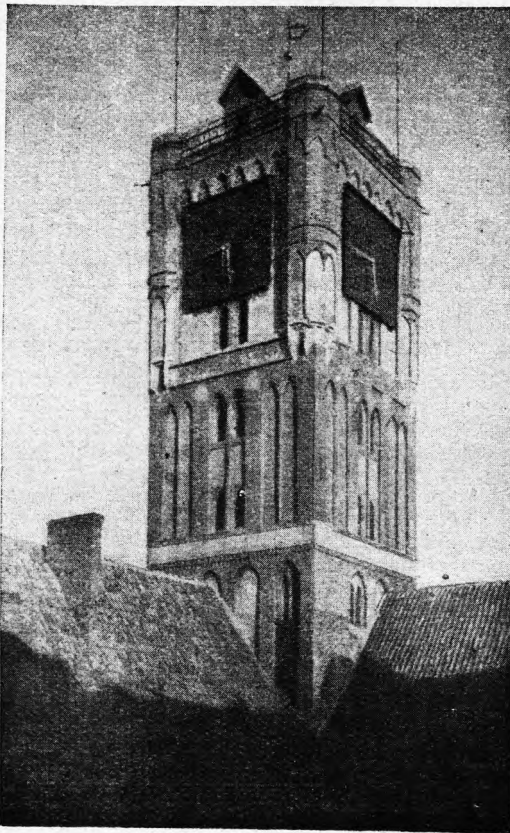
W godzinach porannych zgromadził się w świetlicy Z. S. miejscowy oddział strzelecki, przedstawiciele oddziałów sąsiednich wraz z komendantem powiatowym Z. S. ob. por. Lasotą, zast. komendanta pow. ob. por. rez. Zdanowiczem, prezesem miejscowego Z. S. ob. Jarmarkiem oraz przedstawicielami władz gminnych. Uroczystość poprzedziła msza św., odprawiona przez ks. proboszcza Prawdzic-Bogackiego, do której służyło 4-ch strzelców z miejscowego oddziału. W czasie mszy św. wygłosił podniosłe kazanie ks. proboszcz, treścią dostosowaną do uroczystości. Po nabożeństwie, między godz. 12-tą a 13-tą, odbyły się ćwiczenia pokazowe Z. S., które zgromadziły wielką ilość miejscowej i okolicznej ludności. Ćwiczenia pokazowe wypadły wspaniale, dając i tym razem możliwość naocznego przekonania się o tężyznie i wyrobieniu wojskowym naszych strzelców. Po ćwiczeniach oddział pod komendą ob. Kaizera z orkiestrą na czele przedelfilował przed przedstawicielami Komendy Powiatowej, ks. proboszczem Bogackim i gośćmi.

Następnie o godz. 18-tej na sali w Leśniankach odbyła się akademja okolicznościowa, na której wygłoszony został przez prezesa ob. Jarmarka referat na temat powstania wielkopolskiego. W czasie referatu prelegent odczytał niektóre fakty, dotyczące powstania z kroniki szkolnej, której założenie datuje się od roku 1878.

Po referacie nastąpiło przedstawienie pod tyt. „Jego Kaprałska Mość“, odegrane z werwą przez zespół amatorski płonkowskiego oddziału Z. S., poczem odbyła się zabawa taneczna.

Na specjalne podkreślenie zasługuje wybitna współpraca ks. proboszcza Prawdzic-Bogackiego w organizowaniu uroczystości, który dzięki swojemu poparciu przyczynił się w dużej mierze do tego, że uroczystość płonkowska wypadła tak wspaniale.

PIĘKNO POMORZA



Oto piękna wieża toruńskiego ratusza. Codziennie o godz. 12 płyną z niej dźwięki tradycyjnego hejnału, głoścąc całemu światu chwałę Torunia.

100 zł nagrody

**o t r z y m a s z
jeżeli napiszesz szczerze
i dobrze o najpiękniejszym
okresie w swoim życiu!**
Warunki konkursu „Młodego
Gryfa“ znajdziesz w Nr. 2 i 3.

Rozwój działalności Zw. Strzel. w pow. chodzieskim

Ze społeczeństwo powiatu chodzieskiego coraz bardziej docenia ważność chwili, i że Związek Strzelecki daje najlepszą gwarancję wychowania swoich członków na prawych obywateli — świadczy fakt, że do Zw. Strzel. z każdym dniem wstępuje coraz liczniej młodzież żeńska i męska, łącząc się w Oddziały Zw. Strzel., oraz starsze pokolenie, tworząc Koła Przyjaciół Zw. Strzel.

W dniu 31 stycznia b.r. utworzono nowe dwa Oddziały męskie Zw. Strzel. i dwa Koła Przyj. Zw. Strzel. a to: 1) w Heljodorowie z zarządem: obyw. Gawron Michał — prezes; Placzek Władysław — wiceprezes; Łosoś Bronisław — sekretarz; Wendland Konstanty — skarbnik; Badura Wincenty, nauczyciel, jako refer. wychow. obywat.; Gryczka Stanisław — komendant; Gawron Józef — zastępcą komendanta. W skład Komisji Rewizyjnej weszli obyw.: Plewa Józef, Łabecki Teofil, Berczyński Michał; 2) w Borowie z zarządem w następującym składzie: obyw. Abraham Antoni — prezes; Cwik Władysław — wiceprezes; Czarudawski Jan — sekretarz; Lipiński Marjan — skarbnik; Bykowski Alojzy — ławnik; Nowakówna Władysława, nauczyciel, jako refer. wychow. obywat. Cwik Franciszek — komendant; Mańkowski Wincenty — zast. komendanta; Komisję Rewizyjną tworzą: obyw. Czarnecki Jan i Cwik Józef.

Wymienione Zarządy oświadczyły, że w niedługim czasie zorganizują u siebie Oddz. Żeński Zw. Strzel. komulując dwie gminy w jeden Oddział.

We wspomnianych miejscowościach całe obywatelstwo polskie bez względu na przekonania, wstąpiło w szeregi Zw. Strzel., ponieważ zrozumiało, że w Zw. Strzel. niema partyjnictwa — a jest tylko uświadomienie obywatelskie, które wzmacnia ducha i hartuje ciało.

Nowym placówkom posyłamy „Szczęść Boże“ i życzenia jak najowocniejszej pracy dla dobra ogólnego.

Z życia Zw. Strzel. w Pomieczyźnie.

Placówka Zw. Strzel. Hopy-Pomieczyno urządziła w dniu 21. b. m. w Pomieczyźnie akademję ku uczczeniu 71 rocznicy „Powstania Styczniowego“. Na akademję — oprócz całej ludności miejscowej — przybył ks. prob. Bork z Pomieczyzna, p. starosta Czarnocki, kdt. obwodu P. W. 65 p. p. por. Zachariasiewicz, kdt. P. P. Dudziński, prezes pow. zarządu Z. S. nacz. Przemyskański, notariusz Krygowski, nacz. poczty Estkowski, p. Langiewicz i inni.

Ob. Bach w imieniu miejscowej kaszubskiej ludności w krótkich, lecz tchnących głęboką szczerością słowach powitał przedstawiciela rządu i gospodarza powiatu, p. starostę Czarnockiego, wnosząc okrzyk na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polski, Jej Prezydenta i Marszałka Polski J. Piłsudskiego.

Ob. nauc. Warlik, czł. Legjonu Młodych, wygłosił słowo wstępne o Powstaniu Styczniowym.

Następnie zespół amatorski Z. S. odegrał „Gwiazdę Syberji“. Po akademji urządzono zabawę, na której w prawdziwie rodzinnym nastroju bawiono się do północy.

Organizatorzy tej miłej i podniosłej uroczystości, mając do pokonania szereg trudności, na jakie normalnie natrafia się przy organizowaniu podobnych imprez na wsi, dowiedli, że wytrwała i konsekwentne dążenie do celu potrafi każdą przeszkodę usunąć, dając tem samem przykład innym, którzy w pracy społecznej, oblitującej w przeszłości i ciernie, nieraz b. łatwo zrażają się, zamiast z tem większą zacętością łamać przeszkody.

Szczerze słowa uznania i podziękowania należą się ks. prob. Borkowi, zasłużonemu działaczowi społecznemu i wielkiemu przyjacielowi Z. S. za to, że tak osobistym przykładem, jak i słowem przyczynił się do przychylnego ustosunkowania się miejscowej ludności do poczynań Z. S.

Opuszczając zabawę p. starostę zegnana zebrana ludność długo niemilkącymi okrzykami.

Własnymi siłami przy rodzinnym stole

Dział rozrywek umysłowych pod redakcją

„Starego Wygi“

KRZYŻÓWKA

ułożył Gary

	1	7	8		3	38	39		5	40		
9		2		13		4			6			42
11	10				14			19				41
12				15				37				54
		21	26		16	17	18		36	43		
	22			27		20			35			49
23			28		30			34				51
				29								52
24												
25			31					46	44			53
								47		45		
	33							48				

Znaczenie wyrazów :

Poziomo: 1. Część twarzy. 2. Cyfra (wspak). 3. Instrument muzyczny. 4. Ton muzyczny. 5. Część nogi. 6. Utwór poetycki. 11. Rosjanin. 12. Miara powierzchni. 15. Przyimek franc. 16. Jama. 19. Masa izol. 20. Zaimek wskazuj. 21. Dwie lit. tygodn. wychodz. w Toruniu. 22. Siedziba trybunału międzynarodowego (wspak). 23. Przyimek (wspak). 24. Księga. 25. „i“ po łacinie. 28. Bagnet (wspak). 29. Franc. powieściopisarz. 31. Schron dla pszczół. 22. spójnik. 33. Nie to. 35. Dzikie zwierzę. 36. Ponieważ. 37. Bożek egipski. 46. Zaim. wskaz. 47. Miara pow. 48. Ołtarz w jęz. niem. 51. Posiada. 52. Stary las. 53. Miara powierzchni (wspak).

Pionowo: 5. Część nogi. 6. Obydwa. 7. Ptak. 8. Zaimek pytający (wspak). 9. Imię arabskie. 10. Albo, w jęz. ang. 13. Ogród owocowy. 14. Przew. 17. Opera. 18. Znany proszek do prania. 19. Wiek. 21. To samo co 21 poziomo. 22. Rodz. nawozu szt. 23. Składnik powietrza. 26. Produkt chemiczny z = s. 27. Tragedja szekspirowska. 30. Imię Japonki. 31. Miasto w Alpach Szwajc. 32. Dwie samogłoski. 34. Spółgł. fonetycznie (wspak). 35. Brama pałacu. 36. Rodz. drzewa. 38. t. s. = 31 poziomo. 39. Odda. 40. Nazwisko kierown. chóru revellersów w Polsce. 41. Jest, po ang. 42. Przerwa wypoczynk. w rajdzie. 43. Jedn. elektrot. 44. Część sztuki. 45. Miara pow. (wspak). 50. Mieszkaniec Afryki półn. 49 Bóg miłości.

Za rozwiązanie Redakcja przynajmniej cenną nagrodę książkową.

Rozwiązanie należy nadsyłać do 28 lutego.

Z pośród nadesłanych rozwiązań z Nr. 1 „Mł. Gr.” nagrodę wylosował **Leon Knasiak**, Wolental, p. Pązewo.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. J. J. Chojnice. Utwory Pańskie ludzaco przypominają nowele Żeromskiego, zebrane w tomie: p. t. „Pisma dla młodzieży”. Czy Pan chciał skąpać się w chwale Żeromskiego i przywłaszczyć sobie twory jego ducha, czy też poprostu przekonać się, jak bardzo czytana jest Redakcja? Zrodzony w Pańskiej głowie kawał się nie udał. Szkoda było znaczka pocztowego!

Bezimienny. Pyta się Pan, jakie tematy najchętniej widzielibyśmy na konkursie „Mł. Gr.” Otóż, proszę Pana, temat jest jeden i wyraźnie brzmi: „Najpiękniejszy okres mojego życia”. W ramach tego tematu ogólnego mieści się niezliczona ilość innych, jak prawdopodobnie wrażenia obozowe, pierwsza miłość, niecodzienna przygoda, urozmaicona wycieczka, następnie przełomowe momenty w życiu, jak matura — ucznia szkół średnich, uzyskanie pracy przez „długoterminowego” bezrobotnego i t. d. Wymieniać tu możnaby — jak zresztą sam Pan widzi — bez końca. Każdy z uczestników konkursu może — według własnego uznania — obrać sobie temat. Redakcja absolutnie nie zamierza nikomu narzucać tematu, bo wtedy każda praca wyglądałaby sztucznie, a więc — co zatem idzie — nie byłaby nigdy — piękna.

P. W. Słowik, Bydgoszcz. Na podstawie nadesłanych nam prac z przyjemnością stwierdzamy, że pióro i umysł Pana gwałtownie dojrzewają. W każdym bądź razie tkwi w Panu talent! Ażeby go rozwinąć, trzeba jednak dużo pracować!

Radjo w izbie — świat na przyźbie. — Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

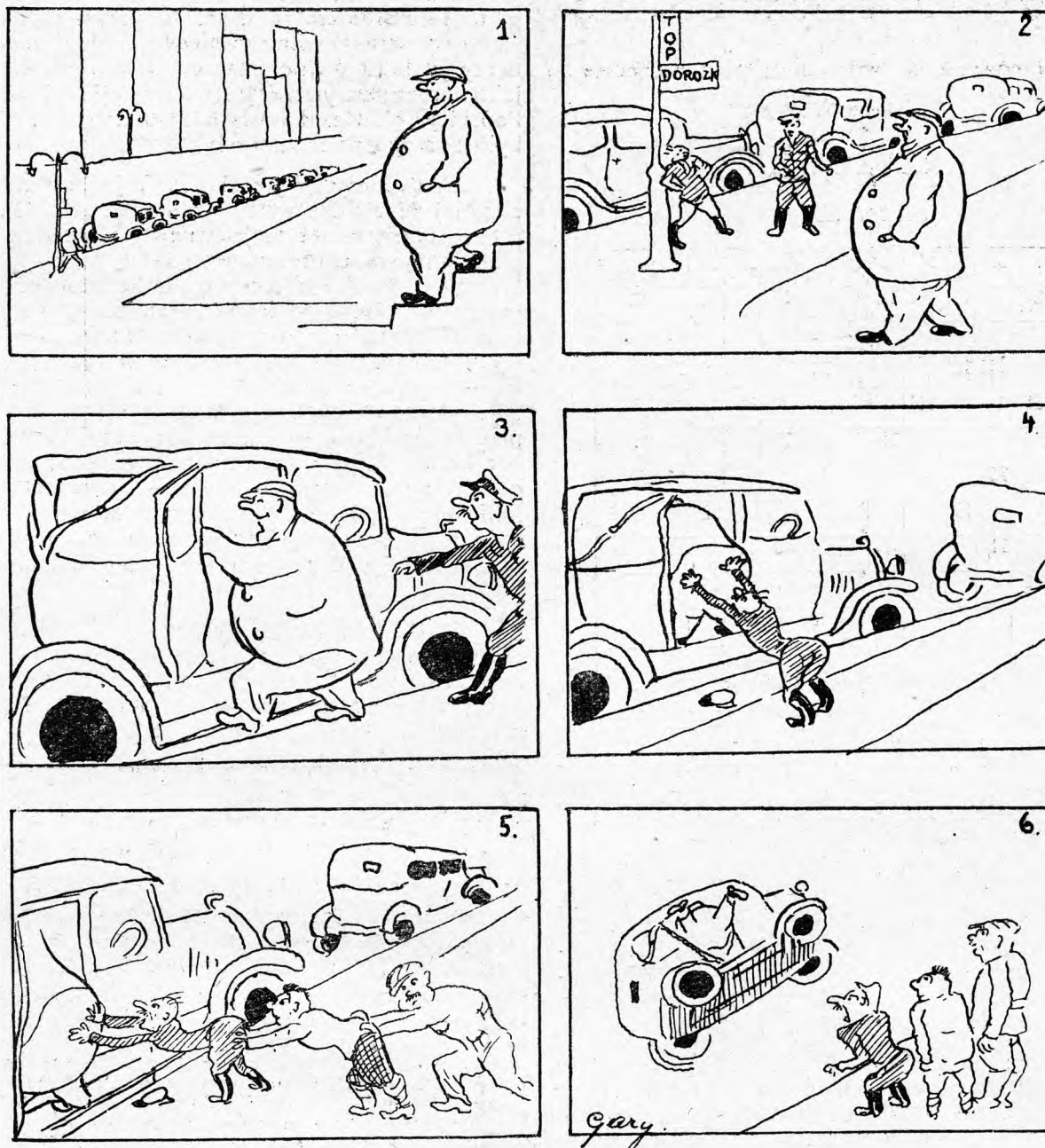
od dnia 11. II. do dnia 17. II. 1934 r.

Codziennie: 7.05 Gimnastyka. 7.52 Chwilka gospodarstwa domowego. 12—16 Muzyka z płyt gramofonowych. 17.00 Koncert solistów. 22.00 Muzyka taneczna. 22.25 Wiad. sportowe.

Niedziela, dnia 11. II 1934 r. Godz. 12.00 Transmisja z Gdyni, sygn. czasu, wystrzał działowy z „Bałtyku” i trąbka marynarska. **12.03** Transmisja z konkursu skoków narciarskich ze skoczni na Krokwi w Zakopanem. **15.00** Miliony z odpadków gospodarskich. **16.00** W bursztynowym pałacu. **16.45** Jak Wojtek Świdroń telefonował do swojej baby. **17.00** Ubranie stosowne do zajęcia. **18.00** Słuchowisko p. t. Wino, jedzenie i śpiew. **19.30** Co się dzieje na świecie, **19.50** Przemówienie przedstawiciela Rządu Rzplitej. **21.00** Staropolskie zapusty. **21.15** Na wesolej lwowskiej fali. **Poniedziałek dn. 12. II. Godz. 18.20** Nowe piosenki — nowe przeboje. **Wtorek, dn. 13. II. 34 Godz. 16.40** O sporcie łyżwiarskim. **18.00** Potrzebny, czy niepotrzebny handel? **20.02** „Kwiat Hawaju” — operetka. „Terorysta” — humoreska. **Środa, dn. 14. II. Godz. 16.10** Więcej, niż król. **18.00** „Widzenie Eusta” czyli postępy techniki. **19.25** Cierpienia i zwycięstwa twórców. **21.15** Przemysł ludowy na Huculszczyźnie. **Czwartek, 15. II. Godz. 17.20** Nowiny rolnicze. **17.30** Słuchowisko p. t. Słowacki w Szwajcarii. **22.00** To samo, a jednak co innego. **Piątek, dn. 16. II. 16.55** Recital śpiewaczy Jagwigi Hoppe. **17.50** Z teorii i praktyki rolniczej. **18.00** Szkoła dawniejsza a dzisiejsza. **20.15** Nowości literackie. **Sobota, dn. 17. II. Godz. 16.00** Audycja dla chorych w opracowaniu ks. Rękasa. **18.00** Reportaż. **19.25** „Babcia” opowiadanie Marji Dąbrowskiej.

Złóż datkę na Challenge 1934 r.

SMUTNE ZDARZENIE



Pieśń bez słów o Salcesonie, który chciał jechać samochodem.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

posiada na składzie

tarcze do strzelań,

przewidziane regulaminem dla oddziałów P. W. Tarcze 10 pierścieniowe. Wymiary 100×100. Pole czarne 40 cm.
Cena 100 sztuk wynosi 18,— zł bez kosztów przesyłki.

Warunki prenumeraty:

rocznie 12 zł
półrocznie 6 zł
kwartalnie 3 zł
miesięcznie 1 zł
numer pojedynczy 25 gr

Redakcja i Administracja: Toruń, ulica Dobrzyńska 1.

Tel. Red.: D.O.K. 137 Nr. P.K.O. 160 365 Tel. Adm.: D.O.K. 137.

Redaktor: Maksymiljan Szyprowski, Toruń, Dobrzyńska 1.
Administrator: Alojzy Batke.

Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z odp. udz.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nadesłanych rękopisów i fotografii Redakcja nie zwraca.

DRUKARNIA SPÓŁDZIELCOZA, TORUŃ.

Ogłoszenia:

Strona 200 zł
1/2 strony 110 zł
1/4 strony 70 zł
1/8 strony 40 zł
1/16 strony 25 zł